Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z polowania reprezentacyjnego w Białowieży. Maurycy hr. Potocki przy ogniu. Fot. W. Korsak.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 7 (783) 1 MARCA 1935 R.



Z polowania reprezentacyjnego w Białowieży. Pan Prezydent Rzeczypospolitej podczas śnieżycy. Fot. W. Korsak.

Z BIAŁOWIEŻY.

Zagrały trąbki... Jak w starej Mickiewiczowskiej pieśni, płynęły przez puszczę dźwięczne tony, oznajmiając porę łowów, beztroskie dni w dzikiej kniei.

Jak ongiś koronowane głowy królów szukały wrażeń łowieckich w najwspanialszej polskiej kniei, tak i teraz najwyższy dostojnik — Pan Prezydent Rzplitej z gośćmi przybył do Białowieży na zimowe łowy.

Mnóstwo myśliwych i gości dostąpiło zaszczytu uczestniczenia w tem polowaniu, a przeto, żeby wszystkich uraczyć, zastosowane zostały dwie zmiany gości i po dwa dni łowów dla każdej. Pierwsza zmiana polowała w piątek i sobotę 25 i 26 stycznia, druga w poniedziałek i wtorek 28 i 29 stycznia.

W pierwszej brali udział następujący goście — pp.: Greiser, Prezydent Senatu w. m. Gdańska, adjutant jego mjr. Boetke, Min. Pappée—Komisarz Generalny R. P. w Gdańsku, Min. Cudahy—Ambasador U. S. A. w Warszawie, Janusz Jędrzejewicz—b. Premjer R. P., Ministrowie Michałowski i Kościałkowski, gen. Pasławski — wojewoda Białostocki, gen. Piskor, Janusz ks. Radziwiłł — senator, prezes Donimirski.

Gośćmi w drugiej partji byli pp.: Goering, Premjer Pruski, Kendell — Naczelny Dyrektor Lasów Rzeszy, Haussendorff — Łowczy Pruski, Mentke — adjutant premjera Goeringa, Min. Moltke — Ambasador Niemiec w Warszawie, Min. Szechenyi — poseł węgierski w Warszawie, Min. Boheman — poseł szwedzki w Warszawie, Min. Lipski — ambasador R. P. w Berlinie, Wł. Raczkiewicz — Marszałek Senatu, Min. Rolnictwa Poniatowski, Loret — Naczelny Dyrektor Lasów Państw., gen. Sosnkowski, gen. Fabrycy, Karol ks. Radziwiłł, Maurycy hr. Potocki.

Pan Prezydent w otoczeniu całego domu wojskowego i cywilnego, a także p. Radca Józef Mościcki, p. Bormans — powinowaty p. Prezydenta, p. Romer — Dyrektor Protokółu Dyplomatycznego, inż. Knothe — Konsulent do spraw łowieckich przy Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych i p. Nejman—Dyrektor L. P. w Białowieży uczestniczyli przez cały czas, jak również zaszczycony był podwójnem zaproszeniem i niżej podpisany.

Przez cały czas tych pięciu dni z wypoczynkową niedzielą włącznie gościły również w Białowieży panie, a mianowicie pani Mościcka — małżonka Pana Prezydenta, pani Bobkowska — córka i p. Józefowa Mościcka — synowa Pana Prezydenta, oraz panie: Świtalska, Kalińska, Romerowa, Głogowska i Zaniewska.

Ponieważ, pomimo rozdzielenia gości na dwie partje, ilość myśliwych była bardzo pokaźna, utworzony został t. zw. folwark, t. j. dodatkowe polowanie na mniejszą ilość strzelb. Mając wolny wybór, podzieliłem czas na połowę, spędzając pierwszy i czwarty dzień na polowaniu głównem, drugi zaś i trzeci — na „folwarku".

Przy marnej pod względem łowieckim, bezśnieżnej tegorocznej zimie, z powodu której łowy białowieskie uległy dwutygodniowemu odroczeniu, organizacja skutecznych miotów była bardzo utrudniona, gdyż przez pierwsze dwa dni formalnie wiosennej odwilży, zjadającej resztki i tak mizernej powłoki śnieżnej, nie można było oprzeć się na tropieniu. Dopiero następne dni ponownie ubrały las w śnieżną szatę, ułatwiając łowy i dodając specjalnego uroku dzikiej kniei.

Rozplanowanie miotów na dziki, które miały być główną podstawą łowów, utrudnione też było bardzo przez niezwykły urodzaj żołędzi, dzięki czemu dzi-

ki, nie ściągając do miejsc stałego dokarmiania, rozproszyły się po całej puszczy i rezultat pędzeń był gorszy, niż się spodziewano.

Mioty szły nad wyraz sprawnie jeden za drugim, przy podwójnej nagance, zaopatrzonej w smolne łuczywa, obstawieniu skrzydeł ludźmi i fladrami i planowo obmyślonej działalności podwód, rozwożących myśliwych.

Główny plan i kierunek miotów opracowany był teoretycznie przez p. Nejmana — Dyrektora L. P. w Białowieży i przez p. inż. Knothego.



Premjer Rzeszy H. Goering w rozmowie z Dyr. L. P. w Białowieży, p. Nejmanem. Fot. W. Korsak

Pierwsze dwa mioty w piątek — 25 stycznia dały odrazu przedsmak czekających na myśliwych wrażeń, nastrojów i emocyj. Ze skrzydła, na którem stałem, liczyłem strzały: 11 w pierwszym miocie, 10 — w drugim, a wracając potem linją, widziałem pokot — 3 rysie i 5 dzików. Niby pierwsze służbiste odsalutowanie przed Dostojnym Włodarzem, złożyła puszcza swą najpiękniejszą daninę u stóp myśliwych, a przeciągłe echo trąbki wyśpiewało na dalekie knieje ten pierwszy przepiękny rozkład...

Potem było gorzej... Odwróciła się twarz Fortuny, a św. Hubert przysłonił siwym kapturem swe szczodre oczy. Następne cztery mioty dały w rezultacie 6 dzików, 1 lisa, parę jarząbków. Ostatni miot, już pociemku, wykazał niepospolitą bystrość wzroku p. Greisera, który postrzelił w pełnym biegu dzika, a po skończonym miocie doszedł go w kniei i dobił z rewolweru.

Drugi dzień łowów dał na głównem polowaniu jedynie 6 lisów i kilka zajęcy, na folwarku zaś 2 dziki.

Pierwsza partja gości odjechała. Niedziela, dzień wypoczynku, przeszła spokojnie w cichym, domowym nastroju. A i pogoda dostosowała się — wiatr, huczący ciągle w koronach drzew, umilkł zupełnie, łagodne powietrze ukazywało w omglonych zarysach daleką perspektywę śpiących lasów.

W poniedziałek druga partja gości stanęła do apelu. Byłem dnia tego na „folwarku" i chociaż miałem przyjemność zabicia ładnego, choć niedużego odyńca, ale zato ominęło mnie szczęście ujrzenia w kniei najpiękniejszego trofeum całych tych łowów, wspaniałego rysia — kota, zabitego przez Radcę J. Mościckiego. Był to okaz niepospolity, o wadze 27 kg., wielkości dużego psa, z głową, bezmała dorównywującą ludzkiej!

We wtorek znów byłem z główną partją i miałem okazję do licznych ciekawych zdjęć fotograficznych.

Porządek dnia bywał ściśle nakreślany i przestrzegany. Ranne śniadanie między 7 a 7 i pół. O wpół do ósmej wyjazd, po trzecim lub czwartym miocie śniadanie w gajówce, albo w pawilonie leśnym, specjalnie na ten cel budowanym. Po powrocie herbata w pałacu, w strojach myśliwskich, potem ogólny odpoczynek w swych pokojach. O 8-ej obiad w strojach wieczorowych, poczem rozmowa w salonach, urozmaicona miłą obecnością pań i trwająca nieraz do 11-ej w nocy.

Ogólny pokot wyniósł 4 rysie, 44 dziki, 1 kozła, 7 lisów, kilka zajęcy i jarząbków. Z tego Pan Prezydent miał na rozkładzie 2 dziki i lisa, p. Radca Józef Mościcki 2 rysie, Premjer Goering 3 dziki, p. gen. Piskor 1 rysia i 2 dziki, p. Boetke 1 rysia.

W sobotę i we wtorek wieczorem — przepięknie otrąbiony pokot z każdych dwóch dni przy smolnych pochodniach, przed gmachem pałacu...

Niezatarte wrażenia i wspomnienia na długie lata pozostawią te beztroskie chwile, spędzone w głębi puszczy, te pełne nastrojów łowieckie tradycje, ta serdeczna gościnność, którą odczuć musiał każdy z gości.

We wtorek osznurowane zostały dwa wilki, a ponieważ Premjer Goering nigdy jeszcze na wilka nie polował, więc postanowił zostać jeszcze na środę i spróbować szczęścia. Pozostał więc on i wszystkie towarzyszące mu osobistości, p. ambasador Lipski, gen. Fabrycy, płk. Głogowski, Maurycy hr. Potocki, p. Knothe i niżej podpisany.

We środę o 7 rano byłem już z Maurycym hr. Potockim przy sznurach. Oględziny wskazały, że wilki nie wyszły. Nim goście przyjechali, zrobione zostało stanowisko w jednym z rogów, o 60 kroków wgłąb miotu. Walił gęsty śnieg. Myśliwi stanęli przy sznurach na trzech bokach i mieli strzelać do wilków dopiero po strzałach gościa. Pierwsze ciche pędzenie nie wypłoszyło wilków, które przywarowały snadź w gęstwinie, dopiero pod koniec drugiego pędzenia padły dwa strzały ze stanowiska w rogu i na tem skończyło się wszystko. P. Goering postrzelił jednego wilka, poczem oba przeszły przez sznury w niestrzeżonem miejscu. Dały się jednak widzieć przed strzałami paru osobom, między innemi ambasador Moltke był zachwycony tą wizją krwiożerczego zwierza na przepięknem tle ośnieżonej świerkowej gęstwiny.

Parę miotów na otropione rysie nie dały rezultatu, gdyż chytry zwierz wychodził zawsze bokiem.

Nazajutrz o 9-tej rano odszedł pociąg, uwożąc gości z Niemiec. Zwykła cisza i spokój zapanowały w Białowieży. Śnieg padał coraz gęstszy, zacierał ślady inwazji ludzkiej, powlekał puszystą zasłoną tajemnicze znaki krwawej walki. Puszcza pod białą powłoką zasypiała snem zimowym, by obudzić się na wiosnę wraz z głuszcową pieśnią do złożenia nowej daniny.

WŁODZIMIERZ KORSAK

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na pierwszy kwartał b. r., lub na miesiąc marzec.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. Administracja.



Z polowania 6 i 7 lutego b. r. na lisy w lasach Naopolska i Strzembowa (pow. Płońsk). W osiem strzelb — czternaście lisów.
Fot. Z. Charzyński

W SPRAWIE DZIERŻAWY POLOWAŃ W LASACH PAŃSTWOWYCH.

(Ciąg dalszy).

A teraz jak się przedstawia dzierżawa terenów łowieckich w lasach państwowych i czy stosunki, jakie się na tle wydzierżawiania tych terenów ukształtowały, są właściwe?

Zacznijmy analizę od początku — od zaofiarowania. Należy stwierdzić przedewszystkiem, że sam podział terenów państwowych na obwody łowieckie jest niewłaściwy. Zaofiarowany do dzierżawy objekt winienby posiadać warunki samodzielnej gospodarki łowieckiej, której się przecież od przyszłego dzierżawcy wymaga, a więc obejmować ostoje tych przynajmniej gatunków zwierzyny, które dla danego terenu uważa się za najważniejsze i charakterystyczne i których istnienie jest głównym motywem wydzierżawienia polowania na danym terenie. Niestety, zaofiarowywane do wydzierżawienia tereny łowieckie są niemal z reguły zbyt małe, nie obejmują całkowicie naturalnych kompleksów, ostoje zwierza są podzielone pomiędzy tereny administracyjne, a przeznaczone do wydzierżawienia i t. p. i nie dają warunków prowadzenia na nich samodzielnej gospodarki. Do wyjątków zaliczyć należy wypadki, gdzie zaofiarowany teren został wydzielony w ten sposób, że stwarza odrazu możliwości samodzielnej gospodarki łowieckiej. W większości wypadków jest inaczej i dzierżawca potem dopiero przekonuje się, że ta sama zwierzyna przebywa częściowo na terenie innego dzierżawcy lub administracyjnym, a więc, że ani hodować zwierzyny, ani polować samodzielnie na wydzierżawionym terenie nie może. W rezultacie następuje — w najlepszym wypadku — uwieńczone pomyślnym wynikiem, często jednak za umyślnie podwyższoną cenę, dodzierżawienie terenów, potrzebnych dla należytego zaokrąglenia, w najgorszym — załamanie się dzierżawcy, niedotrzymanie z formalnego punktu widzenia z jego winy umowy, straty, obustronne niezadowolenie i pretensje.

Większość najlepiej nawet prowadzonych kółek przechodziła przez tę Scyllę i Charybdę kompletowania terenów, połączonego z poważnym wewnętrznym kryzysem i groźbą likwidacji kółka, niemogącego stanąć odrazu na pewnych nogach.

Druga sprawa to ilościowy i jakościowy stan zwierzyny na wydzierżawionych terenach, informacje o którem winny być przecież podstawą do ustalenia warunków zawieranej umowy i dalszej gospodarki dzierżawcy. W ogłoszeniach o przetargach stan ten przedstawiony jest, jakby przez ironję, ogólnikowo w liczbie pojedyńczej: dzik, zając, sarna, cietrzew i t. p., gdy od przyszłego dzierżawcy wymaga się w następstwie bardzo szczegółowych sprawozdań o stanie zwierzyny i od tego uzależnia się zezwolenia na przeprowadzanie corocznego odstrzału.

Tymczasem Dyrekcje Lasów Państwowych, wydzierżawiając tereny, nie chcą czy nie mogą udzielić najistotniejszych, podstawowych informacyj co do liczby dotychczas uprawianego odstrzału, przybliżonej ilości zwierzyny, tokowisk głuszców i cietrzewi i t. p. Pochodzi to niewątpliwie stąd, że wydzierżawiane tereny są naogół bardzo ubogie w zwierzynę, poprostu z tych czy innych powodów zdewastowane i ujawnienie tej okoliczności niewątpliwie odstraszyłoby przypuszczalnego dzierżawcę. Chodzi niewątpliwie także o zwolnienie siebie od wszelkiej odpowiedzialności za ujawniony w następstwie przez dzier-

żawcę, pozostawiający aż zbyt wiele do życzenia stan liczebny zwierzyny na wydzierżawionym terenie.

Wszelkie zarzuty z tego tytułu Dyrekcje Lasów Państwowych chciałyby odpierać w przyszłości zastrzeżeniem w umowie, że dzierżawca poznał wydzierżawiony teren, przekonał się o jego stanie i ilości znajdującej się na nim zwierzyny i zobowiązał się nie rościć żadnych z tego tytułu pretensyj.



Poszedł w las. Z serji, nagrodzonej II nagr. i srebrnym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

Takie postawienie kwestji ze strony Dyrekcyj lasów daje powód do wielu prawniczych refleksyj. Przedewszystkiem, że we wszystkich umowach winna istnieć równość stron i że w każdej umowie winno być jasno powiedziane, co każda ze stron daje i co wzamian za to otrzymuje. Tymczasem przy wydzierżawianiu polowania, szczególnie na większym obszarze, jest absolutnem niepodobieństwem w drodze zwykłego choćby nieraz tygodnie, a nawet miesiące trwającego oglądania terenu przekonać się o ilości znajdującej się na nim zwierzyny i możliwościach gospodarki łowieckiej w zakresie dopuszczalnego odstrzału. Obliczyć w przybliżeniu ilość grubszej zwierzyny można tylko zimą, po ponowie, przy pomocy doświadczonej i znającej teren straży łowieckiej, ilość głuszców można ustalić tylko na tokach, ilość drobnej zwierzyny, mogącej być odstrzeloną, można określić tylko zimą, podczas zwykłych, lub próbnych polowań zbiorowych i t. d.

Wszystkie te dane są, a przynajmniej powinny być dokładnie znane oddającemu w dzierżawę, nie można jednak żądać, aby co do nich mógł się zorjentować choćby na podstawie obejrzenia terenu biorący w dzierżawę.

Dziwną bo jest umowa na dzierżawę polowania, tak, jak ona się przedstawia w dotychczas zawieranych kontraktach. Nazywa się to dzierżawą, a więc, zdawałoby się, podpada pod postanowienia kodeksu cywilnego, tarktującego o dzierżawie.

W zwykłej umowie o dzierżawę, szczególnie traktującej o prowadzeniu dalszej gospodarki w tym czy innym kierunku, mówi się zawsze wyraźnie, że stan wydzierżawionego objektu jest taki a taki; że na wydzierżawionym objekcie (jeśli np. idzie o gospodarkę rolną) jest tyle a tyle morgów, zasianych oziminą, tyle a tyle podoranych pod okopowizny, tyle a tyle nawiezionych nawozem i t. p. Istniejące braki wydzierżawionego objektu mają być kosztem oddającego w dzierżawę, lub biorącego (stosownie do warunków umowy), w taki a taki sposób usunięte, przyczem oznacza się termin usunięcia tych braków i t. p. W chwili ekspiracji dzierżawiony objekt ma być oddany w zgóry określonym stanie, bądź takim, w jakim został objęty, bądź w innym, zgóry przez strony ustanowionym. Słowem strony za punkt wyjścia umowy dzierżawnej przyjmują znany im i określony w umowie stan zagospodarowania wydzierżawionego objektu i na jego podstawie ustanawiają warunki dalszego prowadzenia gospodarki i stanu, w jakim wydzierżawiony objekt ma być po wygaśnięciu umowy oddany. Usuwa to wszelkie niespodzianki, jakie z tytułu stanu wydzierżawionego objektu mogłyby wydzierżawiającego w przyszłości zaskoczyć i daje mu możność należytego zorjentowania się co do warunków, ewentualnych wyników, kosztów prowadzenia gospodarki i sprostania przyjętym na siebie obowiązkom.

Przy wydzierżawianiu polowania według dotychczasowych umów o jakiemkolwiek nawiązaniu do dotychczasowej gospodarki łowieckiej, o jakimkolwiek podaniu rzeczywistych danych co do warunków i możliwości prowadzenia gospodarki łowieckiej, o dotychczasowych odstrzałach i przybliżonej ilości zwierzyny na wydzierżawionych terenach—mowy niema. Zebranie tych danych i ewentualne skutki ujawnionych braków przerzuca się całkowicie na wydzierżawiającego.

Dla prawnika takie postawienie kwestji nasuwa refleksje o postanowieniach kodeksu cywilnego o umowach, zawartych pod wpływem błędu, o pokrzywdzeniu, o wadach ukrytych i t. d., słowem wątpliwości co do prawnej wartości odnośnych zastrzeżeń, a częstokroć i samej umowy. W każdym razie takie stawianie kwestji winno być uznane za niewłaściwe, a obowiązki wydzierżawiającego polowania, szczególnie takiego, który chce pobierać wysoką tenutę dzierżawną, wymaga prowadzenia racjonalnej gospodarki i oddania sobie wydzierżawionego terenu po wygaśnięciu umowy w stanie należytego zagospodarowania łowieckiego, nie mogą ograniczać się do zwykłego bez żadnych wiążących go informacyj „wpuszczenia do lasu" i to jeszcze poddanego szeregowi zastrzeżeń.

Niewątpliwie też taki sposób oferowania i oddawania terenów łowieckich w dzierżawę jest źródłem niedotrzymania w przyszłości umowy przez dzierżawcę pozornie z jego winy, faktycznie zaś z winy oddającego w dzierżawę.

A teraz przejdźmy do samych warunków umowy dzierżawnej. Należy stwierdzić, że tego, co winnoby stanowić istotę tej umowy — różnych najzupełniej konkretnych postanowień, wypływających z ustalonego przez strony stanu wydzierżawianego objektu, możliwości i sposobu prowadzenia na nim gospodarki łowieckiej przez czas trwania dzierżawy — w obecnych umowach zupełnie niema.

Zastępuje to szereg ogólnikowych i formalnie odpowiadających najwyższym wymaganiom prawidłowej gospodarki łowieckiej punktów, w których wszelkie wątpliwości co do zakresu uprawnień i obowiązków biorącego w dzierżawę rozstrzyga bezapelacyjnie oddający w dzierżawę. Nasuwa to refleksje o dowolnym warunku możności i o postanowieniach wszystkich kodeksów cywilnych, w myśl których ten, na którego rzecz warunek zastrzeżono, nie mo-

że sam określać, czy i w jaki sposób warunek ten ma być przez drugą stronę wykonany. Słowem jasno i krótko — że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Jeżeli już z tych czy innych względów nie można wybrnąć z ogólników i jasno powiedzieć co tę lub drugą stronę obowiązuje, to zamiast uczonych postanowień, pokrywających absolutną dowolność stanowienia o zakresie wykonania umowy przez oddającego w dzierżawę, lepiej jest poprostu powiedzieć, że biorący w dzierżawę zobowiązuje się wykonywać odstrzał i prowadzić gospodarkę w sposób, odpowiadający zasadom prawidłowej gospodarki łowieckiej.

Co to są zasady prawidłowej gospodarki łowieckiej trudno jest w sposób wyczerpujący i jasny określić, jednak każdy doświadczony myśliwy może z całą ścisłością na każdą kwestję i wątpliwość z tej dziedziny odpowiedzieć i w razie sporu między stronami na ten temat wszelkie kwestje może rozstrzygnąć bezstronny ekspert.

Nieokreśloność poszczególnych praw i obowiązków dzierżawcy, wypływająca niemal ze wszystkich paragrafów dotychczasowych umów, jest szczególnie dotkliwą w dwóch punktach: w zakresie obowiązku podkarmiania zwierzyny i w zakresie praw do odstrzału zwierzyny grubej, a więc jeleni, sarn, dzików, głuszców i t. p.

Jeżeli idzie o podkarmianie zwierzyny, to uskutecznia się ono zapomocą t. zw. pólek hodowlanych i obsiewów, bądź też w postaci zadawania zwierzynie gotowej karmy. O ile pierwsze jest racjonalne i przyczynia się do hodowli zdrowej zwierzyny, o tyle drugie nastręcza poważne wątpliwości u znających się na rzeczy hodowców i winno być stosowane tylko jako ostateczność, w wypadkach katastrofalnych gołoledzi i niemożności dostania się przez zwierzynę do naturalnej karmy. Bliższe uzasadnienie tego poglądu znajduje się w świetnym artykule E. Barka p. t. „Pożegnalna spowiedź", zamieszczonym w Nr. 30 „Ł. P." z ubiegłego roku. W każdym bądź razie zwierzostan powinien być pochodną szaty roślinnej danego terenu i sztucznie karmiony w zasadzie być nie powinien. Ewentualne braki szaty roślinnej winny być uzupełnione przez stosowne obsiewy, zapewniające zwierzynie pożywienie we wszystkich porach roku. Takie postawienie kwestji zwalnia w zasadzie dzierżawcę od obowiązku karmienia zwierzyny przy pomocy sztucznej karmy.

Stanowisko Dyrekcyj Lasów Państwowych jest w tej sprawie zupełnie odmienne. Odbierając w postaci t. zw. użytków ubocznych naturalną karmę zwierzynie, co do czego brak jakichkolwiek zastrzeżeń w zawieranych umowach, Dyrekcje lasów chciałyby, żeby dzierżawca równocześnie hodował jak największą ilość zwierzyny i następnie sztucznie ją podkarmiał w zakresie, pozostawionym uznaniu tychże Dyrekcyj lasów. Przejaskrawiając tę kwestję, możnaby powiedzieć, że umowę dzierżawną Dyrekcje rozumieją w ten sposób, iż oddają dzierżawcy teren do hodowli zwierzyny, o pożywienie dla której winien troszczyć się sam dzierżawca.



Pusta knieja. Fot. st. sierż. P. Komar.

Prawidłowe postawienie kwestji polegałoby na tem, aby podkarmianie sztuczną karmą uważać za nader rzadki wyjątek, o którym umowy dzierżawne mogłyby nawet milczeć, natomiast umowy te winnyby zawierać ścisłe i konkretne postanowienia co do sposobu i zakresu różnych obsiewów i urządzania pólek hodowlanych. Należy podkreślić, że ścisłe ujęcie w umowie obowiązków stron w tym zakresie nie nastręczałoby najmniejszych trudności, usunęłoby zaś szereg przykrych nieraz nieporozumień stron w tej sprawie.

(D. c. n.).

WALENTY GARCZYŃSKI.

G O N.

Stryjowi.

Dziś w nocy wypadł biały śnieg.
Na pola legł, na lasy legł;
Obielił mchy i krzaki.
Więc pojedziemy — Stryjku — wnet
Z dubeltówkami, sanną — het!
Na koty, na szaraki.

Do sań weźmiemy wierne psy,
Potem siądziemy, ja i Ty;
Szubą owiniem nogi.
A gdy miniemy lasu brzeg,
Pieszczone pieski pójdą w śnieg
I my zboczymy z drogi.

A potem — gon... radosny gon
Napełni las ze wszystkich stron
I serce mocniej bije.
Uwaga — patrz, przed Tobą — ot,
Przez ścieżkę skoczył czujny kot,
Po krzakach już się kryje!

Do oka broń! I buchnął strzał...
Rutuje kot w gałęzi zwał.
— Po zdobycz szybkie kroki.
Las echem brzmiał ze wszystkich stron
I zbliżał się roztkany gon.
— — — — — — — — —
Dostaną pieski skoki.

J. WOSZCZYNIN.

MUZYKA MYŚLIWSKA.

Rzecz wygłoszona jako słowo wstępne do audycji pod tytułem „Polska pieśń myśliwska", nadanej ze Lwowa na wszystkie rozgłośnie Polskiego Radja w dniu 1 lutego 1935 r.

Na wstępie dzisiejszej audycji należy się parę słów muzyce myśliwskiej w ogólności. Muzyka myśliwska bowiem, to nietylko pieśń. W szerokiem słowa znaczeniu obejmuje ona dwa działy, zasadniczo odmienne. Pierwszy z nich, — to znaki myśliwskie, dawane zapomocą rogu, trąby lub trąbki. Są one odwieczne, jak samo myślistwo. Człowiek, polujący dla zdobycia żywności, odzieży, potem dla rozrywki rycerskiej, o której to mówił Ostroróg, że „czasu spokoju ludzie wojenne w pracach, do wojny należących zachowywa i zalęgać im się nie da", — musiał mieć sposób porozumiewania się z towarzyszami w głębokiej puszczy. Sposobem tym był zew myśliwski, wydobywany z instrumentu dętego. Znaczenie miał on najrozmaitsze. Była to — rzec można — odmiana łowieckiej mowy. Zapomocą rogu rzucało się hasło obławie, zwoływało drużynę, otwierało i kończyło łowy. Ale nietylko ludzie z ludźmi porozumiewali się w ten sposób. Głos trąby myśliwskiej rozumiany był doskonale przez psy myśliwskie, do łowów zaprawione. Była to więc nauka i sztuka zarazem, o której dziś słabe tylko możemy mieć wyobrażenie. Staramy się przecież zrozumieć słowa starej piosenki:



Ryś gen. Piskora — Fot. W. Korsak

„Otrąb się na psy, daj im odprawę,
Bo jeszcze słychać Lutnię i Wrzawę.
Trąb pojezdnego!"

„Odprawa" — to smaczny kąsek, rzucony psom w nagrodę za trudy. „Pojezdne" — to sygnał końcowy „Lutnia" i „Wrzawa" — imiona ogarów. Wszakże i głos ich w gwarze łowieckiej nazywał się graniem. Złaja ogarów, grająca w kniei, — to była najmilsza dla myśliwskiego ucha kapela. Dojeżdżacz, panujący nad nią głosem trąbki, — jej prawdziwym kapelmistrzem. Oto jak Leopold Starzeński opisuje zgon odyńca:

„Już głos drugi, trzeci, czwarty,
Kwintet, sekstet, — bal chór cały!
To ogary rwą jak czarty!
Już z barłogu go wygnały!
Jakaż cudna to muzyka!
Czyżby Mozart taką stworzył?
Złóż tu strzelca nieboszczyka,
A z pewnością wnetby ożył...

— — — — — — — — — — — —

Król na martwem legł posłaniu,
Kłami klasnął, nozdrzem świsnął,
Młodą brzózkę ściął w skonaniu...
I drużyna nasza cała
Przyszła. Trąbki w chór zagrały,
Psiarnia wyciem zaśpiewała —
I to króla pogrzeb cały..."

Gdy gdzieindziej, np. we Francji, przechowały się w sposobach trąbienia myśliwskiego pomniki pisane, sięgające czternastego stulecia, wyobrażone nawet w znakach muzycznych, u nas, niestety, pozostały tylko nieliczne fragmenty drukowanych i rękopiśmiennych pouczeń o tej sztuce i o samym instrumencie. Nikomu nie przychodziło niegdyś na myśl utrwalić rzeczy powszechnie znane. Wspomniany Ostroróg w swym słynnym traktacie: „Myślistwo z ogary" podnosi wprawdzie z naciskiem, że „jeśli na czem w myślistwie zależy, to na trąbieniu" i opisuje sposób dawania niektórych sygnałów, polegający na „przebieraniu" w oktawie, ale pomija t. zw. pospolite odgłosy, o których, jak mówi, wszyscy wiedzą.

Do zapomnianych prawie doszczętnie należą dziś pobudki i hasła, przywiązane do pewnych gatunków zwierzyny. A przecież jeszcze nie tak znowu dawno były one w użyciu. Żył w połowie zeszłego stulecia pod Łopatynem w Małopolsce, szlachcic nazwiskiem Bydłowski, stary myśliwy. Dożył podobno lat 125-ciu. Gdy wreszcie umarł, nie chciano wierzyć, aby to było możliwe. Najstarszy syn chwycił róg myśliwski i zadął pobudkę, zwiastującą wilka. Stary nie poruszył się na posłaniu... Był to znak niechybny, że nie żyje.

Wraz z radykalną zmianą warunków łowieckich i sposobów polowania, musiały jednak zaniknąć dawne zwyczaje, jako zbyteczne. Gdzieś — niegdzieś jeszcze, na wielkich obszarach leśnych, w niektórych dobrach radziwiłłowskich, przechowała się, choć częściowo, tradycja rogu myśliwskiego, zachowały się niektóre fantary na otrąbienie pokotu. Słynny zaś typ tamtejszego trębacza uwiecznił arcymalarz myślistwa polskiego, Juljan Fałat. I literatura piękna niejednokrotnie wraca do tego tematu. A wśród niej jaśnieje arcydzieło, wynoszące do zenitu te możliwości, jakie drzemały w rogu myśliwskim. To koncert Wojskiego.

Zupełnie czem innem od owej muzyki, ściśle myśliwskiej, bo do wykonywania myślistwa należącej, jest muzyka, obejmująca pieśni myśliwskie i wszelkie inne utwory muzyczne, poświęcone myślistwu jako tematowi. Jedne z nich, to znane od wieków zabytki anonimowe. Inne, — to nowoczesne kompozycje, o znanem nazwisku autora nieraz bardzo znamienitego.

Pieśń zabytkową zaliczamy do ludowej. Brak nam wprawdzie muzykologicznego i historycznego opracowania tego działu, ale wiemy, że na wielkim obszarze ziem naszych powstały liczne odmiany regjonalne pieśni, mającej nieraz wspólne pochodzenie pierwotne, możemy się też domyślać powinowactwa niektórych polskich pieśni myśliwskich z pieśnią pokrewną narodów innych, zwłaszcza słowiańskich.

Dzięki kilku pracowitym zbieraczom posiadamy pokaźny inwentarz drukowanych pieśni myśliwskich w wydawnictwach, poświęconych pieśni ludowej. Do takich należy zbiór małopolskich pieśni Wacława z Oleska wraz z tekstem muzycznym układu Lipińskiego, zbiór Juljusza Rogera, obejmujący pieśni ludu górnośląskiego i inne podobne,

a z nowoczesnych zbiór pieśni śląskich Gawlasa zbiór wielkopolski Wiechowicza, zbiór warmijski Nowowiejskiego i wiele innych, przynoszących zawsze jakąś zabytkową pieśń myśliwską, wreszcie mnóstwo tak oryginalnych, jak przerabianych pieśni, rozproszonych w najrozmaitszych wydawnictwach, w śpiewnikach, w pismach perjodycznych literackich, muzycznych, ludoznawczych. Jak zaś wielkie mamy bogactwo tego rodzaju pieśni, dowodzi choćby wspomniany zbiór Rogera, w którym samych myśliwskich pieśni figuruje ośmnaście. Przyszły bibljograf polskiej pieśni myśliwskiej mozolne więc, ale wdzięczne będzie miał zadanie.

Co do nowszej twórczości, ma ona zawsze jeszcze otwarte przed sobą pole. Wszakże temat żyje. Myślistwo, jak długo będzie istniało, nie przestanie być jednem z ulubionych źródeł natchnienia dla pieśniarzy i muzyków podobnie, jak było i jest niem dla malarzy, rzeźbiarzy, poetów i beletrystów. Składa się to na tkwiący w niem i nieśmiertelny pierwiastek bohaterski, niemniej jak i inne, z myślistwem skojarzone czynniki, przedewszystkiem przyrodniczo - deskryptywny i erotyczny. Jeden i drugi czerpie motywy z codziennych przeżyć myśliwca, obcującego z przyrodą, wrażliwego na jej piękno, pochopnego też do przygód miłosnych, ku czemu zawód myśliwski niejednej nastręcza sposobności. Jakże prawdziwie ujmuje to Bartels, gawędząc przy ognisku myśliwskiem:

„I poszły zatem opowiadania
I odpowiedzi i zapytania
I koncepciki i żarty śliskie
I ukochane łgarstwa myśliwskie
I wypuszczone jak od niechcenia
Jakieś miłosne różne zwierzenia
O pannie Zofji, o pannie Kasi,
O jakiejś Rózi, jakiejś Joasi..."

Często — gęsto moment myśliwski miesza się w jednej pieśni z momentem miłosnym, czego przykład mamy w jednej z najstarszych pieśni myśliwskich: „Pojedziemy na łów..." której zwrotki o sobolu i pannie dostarczyły Weyssenhoffowi tytułu do znanej jego powieści. Podobne połączenie tematów wykazuje inna stara, znana w różnych warjantach pieśń o myśliwcu, którego niepowodzenia łowieckie nagrodzone zostały spotkaniem pięknej dziewczyny. Nie brak też i pierwiastków satyrycznych. Spotykamy je w bardzo starej i popularnej pieśni o zajączku, który siedząc pod miedzą, pokpiwa sobie z szukających go myśliwych.

W ograniczonych ramach jednej audycji niepodobna przedstawić różnorodnych typów naszej twórczości w tym zakresie. Wszakże zasięg jej wkracza nawet w dziedzinę opery. Obok licznych partyj operowych na tematy myśliwskie takich kompozytorów, jak Moniuszko, jak Żeleński, mamy całe t. zw. opery myśliwskie, jak „Leśniczy z kozienickiej puszczy" z muzyką Kurpińskiego, albo komedjo-opera Brunona Kicińskiego pod tytułem: „Myśliwy czyli dwoje oczu za jedno."

Dodajmy do tego liczne utwory instrumentalne, jak np. Wrońskiego „Marsz myśliwski" na fortepian, a pojmiemy, że dorobek polski w dziedzinie muzyki, poświęconej myślistwu, jest bogaty i wszechstronny.

Nie trzeba w końcu zapominać, że ponadto posiadamy ogromną ilość pieśni myśliwskich, z których zachował się jedynie tekst słowny, gdy muzyczny zaginął, — a wreszcie i takich utworów poetyckich, które pod nazwą „pieśni" tworzone były bez muzyki. Niemal w każdym z niezliczonych zbiorów pieśni ludowych, wydanych bez muzyki, — czy to będzie Żegota Pauli ze swemi pieśniami ludu małopolskiego, czy, dajmy na to, Czeczott z „Piosnkami wieśniaczemi z nad Dźwiny", czy inni podobni, — znajdziemy jakiś przyczynek do skarbca pieśni myśliwskiej.



Czternastak, odstrzelony 25. IX. 1934 r. przez p. Jerzego Linnerta w nadleśnictwie Sokolniki (Dyrekcja Lasów Państw w Warszawie). Waga 173 kg. — wieńca 6 kg.**).

Wzorem poetyckiej pieśni myśliwskiej będzie zawsze „Chór strzelców" Mickiewicza. Towarzyszy mu zwykle melodja „Chóru myśliwskiego" z opery „Wolny strzelec" Webera, bo, jak wiadomo, powstanie jego łączy się genetycznie z tą operą. Ale mamy i inną, własną muzykę do mickiewiczowskiego „Chóru".

Myśl urządzenia dzisiejszej audycji trzeba nazwać szczęśliwą i pożyteczną, jak wszystko, co ze starej tradycji przypomina momenty krzepiące, co odświeża w nas świadomość stanu posiadania w dziedzinie kultury, co pobudza do nowego tworzenia. Właściwości te posiada w wysokim stopniu każda pieśń rodzima, posiada ją w niemałym stopniu pieśń myśliwska. Będzie ona dziś miała nielada wykonawców. Za chwilę popłynie z piersi młodych rycerzyków*), jak niegdyś szła z piersi drużyn łowieckich wśród rycerskiej zabawy myśliwskiej, „co czasu pokoju ludzie wojenne w pracach, do wojny należących zachowywa i zalęgać im się nie da".

WITOŁD ZIEMBICKI.

*) Chór Korpusu Kadetów Nr. I im. Marszałka Piłsudskiego.

**) Fotografja ta przeznaczona była do zilustrowania artykułu p. t. „W sprawie osiedlenia jeleni na Wołyniu", drukowanego w Nr. 6 „Łowca Pol.".

A mnie wystarczą...

WACŁAWOWI REMISZEWSKIEMU

Ciebie porywa, panienko,
szept zwierzeń, dłoni uściski,
wiosną rozwarte okienko,
przy którem dźwięczy głos niski...
Ciebie zachwyca, kobieto,
dziatwy gwar figli, zabawy...

A ciebie, drogi poeto —
rym niezwyczajny, ciekawy...
A mnie wystarczą za wszystko
drzew o zachodzie koronki,
pędy tęskniące ku listkom,
parna woń ziemi, świst słonki...

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

NIĆ ZŁOTYCH WSPOMNIEŃ O ZŁOTEM PIÓRZE I SERCU.

Przepiękne słowa czcigodnego Prezesa M. T. Ł., Juljusza hr. Bielskiego, wypowiedziane podczas obchodu 25-letniego jubileuszu zasłużonego bojownika myśli literacko-łowieckiej, redaktora organu małopolskich myśliwych, oraz z tak benedyktyńską skrupulatnością zebrane dane bibljograficzne i curiculum vitae Alberta Mniszka przez p. Mieczysława Mniszka Tchorznickiego — ożywiły całą girlandę moich niezapomnianych, czarownych przeżyć.

Na schyłku życia szczególnie zjawa przeszłości — sznur pereł drogocennych — tego wszystkiego, co to już, zda się, na wieki w Nirwanę zapadło, a przecież żyje jeszcze w skarbcu duszy i serca, winno być zachowane na ekranie lat przebolałych z największym pietyzmem, dla tych, co po nas przyjdą.



Z Puszczy Komajskiej. Trofea gen. St. Skrzyńskiego.

Verba volant — scripta manent... Dawno nas już na tym świecie nie będzie, dawno już pod pieszczotą Matki-Ziemi spoczywać będziemy po cierniach i trudach tego walk padołu, a obraz przezacnych żywotów — tych piewców estetyki, ukochania, integralnej znajomości przyrody i jej tworów pozostanie wiecznie.

I w tej dziedzinie niemasz sztrychów drobnych, nic nieznaczących lub małostkowych. Życie zaś właśnie składa się ze szczegółów codziennej niby to szarzyzny.

Całokształt arcydzieł nawet Michała Anioła, Rafaela — od rysu drobnego dłuta, czy pociągnięcia pędzla zależą. A do tej kategorji skarbów rzetelnej duszy autorsko-myśliwskiej, pod kątem fachowej serdeczności widzianej, śmiało można zaliczyć żywot i dzieła Alberta Mniszka.

Tembardziej, że pozostaną one drogowskazem dla nowych pokoleń, ucząc je, jak to nie dość kochać te nasze knieje i pola, i wody poleskie, nie dość kunsztem pióra uwypuklać ich walory, lecz trzeba je znać nietylko po literacku, ale, rozumiejąc je i miłując uczuciem syna dorosłego, ze czcią największą dłoń tej świętości matki rodzonej kornie całować. I właśnie ten pierwiastek serca — miłość potencjalną — zawsze odczuwa czytelnik, rozkoszując się utworami złotego pióra i serca Alberta Mniszka.

Bo cyzelować słowa, tworząc z nich splot artystycznego piękna, posiadając magję talentu, bynajmniej trudnem nie jest.

Ujarzmić intelekt daleko łatwiej bywa, niż wywołać dreszcz i wibrację duszy ludzkiej, gdyż serce ma swój rozum, którego częstokroć abstrakcyjny rozum nie rozwiąże. Słusznie mówią Francuzi: „Kto sercem żyje i prawdą poznania, ten podwójnie żyje".

A kto dla tej idei, jak Szanowny Jubilat, innych rzesze całe kooptuje, ten jest dobroczyńcą dusz spracowanych. I wszystkie natenczas najdrobniejsze detale dni, ongiś razem prześnionych — cennemi być mogą.

Drogi nasze, krzyżowały się nieraz tam, kiedyś, w mirażach młodości, śród dzikich pól praojców, poświstem skrzydeł bohaterskiej husarji, rzekłbyś, jeszcze rozmodlonych, więc dorzucam tych złotych wspomnień wiązankę do pióra i serca złotego...

*

Jak dziś, widzę stary dwór pp. Józefostwa Montresorów w Nowochwastowie.

Rezydencja ta, ośrodek, jak zawsze, polskiej kultury śród stepów ukraińskich, leżała nad brzegami ogromnego stawu i błot, tak zwanych „rud" rozległych.

Ś. p. pani Konstancja Montresorowa, z domu Lubowicka, jedna z najmilszych niewiast ówczesnej generacji, niepospolitych zalet umysłu i serca, wniosła, jako wiano, do i tak już rozległych dóbr Nowochwastowskich, swoją Morozówkę i Śnieżną. Tak, że fortuna cała, o jakie trzydzieści wiorst sąsiadująca z naszą Wierzchownią, stanowiąc razem obszar kilku tysięcy hektarów (dziesięcin), była prawdziwie wielkopańską.

Najszczersze stosunki i rzetelna przyjaźń, łączyły zawsze dom ś. p. rodziców moich z domem ś. p. Montresorów. Sam Józef Montresor był myśliwym pierwszej klasy. Pamiętam doskonale, co to za radość była dla nas dziatwy — magiczne słowa: „Jedziemy dziś po herbacie do Nowochwastowa!" Szczególnie kiedy to już sługa łaskawych czytelników poczynał fuzyjką się bawić.

— „Ale ja zostanę jeszcze na jeden dzień! Pan Montresor obiecał, że zapolujemy razem z jego kuzynem, który aż z zagranicy przyjechał. Na „rudach" morozowieckich, podobno, jak strzelec jego, kozak Cyryl zapewnia, dubeltów naleciało huk! — a kszyków jest jak mrówek w mrowisku".

— „A staraj się, ponieważ łatwo ci będzie zblamować się w obecności p. Mniszka, porucznika I pułku ułanów austrjackich, który aż z Galicji do swej krewnej, pani Konstancji, zjechał". „Kto wie, czy nie zabierze ciebie, Adasiu, z sobą na gęsi? A to sławny już myśliwiec! — ma dziki, jelenie, głuszce, jarząbki w swym pamiętniku.

Można sobie wyobrazić, jak biło serce przyszłego pisarza łowieckiego... Nigdy też nie kułem tak zawzięcie formuły algebraicznej, ani mądrego orzecze-

nia lingwistycznego w używanej podówczas gramatyce „Noël i Chaptal'a".

Wyłuszczałem wszystko jak z regestru, nawet, zdaje się, jakieś nałożone mi *pensum*, którego od tygodni całych nie mogłem odrobić.

Więc nic już nie stało na przeszkodzie moim planom. Na przedniem siedzeniu staroświeckiego landa, przerobionego z przedhistorycznej landary, tak zwanej „dormezy", którą to jeszcze z Moskwy nad brzegi Newy ś. p. rodzic mój w roku 1836 odbywał podróż, rozkoszowałem się... nadziejami złotemi.

A będąc pod wrażeniem spotkania ze słynnym Nemrodem, żadnej uwagi nie zwracałem na cały przepych otoczenia podczas tej miłej peregrynacji.

A szkoda — bo im bliżej Nowochwastowa, tem częściej napotykaliśmy wysokopienne, wspaniałe dąbrowy, czasy niezawodnie Jaremy Wiśniowieckiego pamiętające; tem gęściej zauważyć się dawały na dnie bezgranicznych rozłogów błota (rudy) o charakterze bekasio-dubelcim, w jarach zaś błyszczały tafle stawków z młynkami (roztrusami) i mieszkalną chatynką; każdy taki futor okalał zazwyczaj sad wiśniowy. Mieszkał w niem stary „did-mielnik" z niezmienną czarnobrewą córką, czy wnuczką, Horpynką lub Halką, do których wieczorem, pod pieśń słowiczą, dziarscy parobcy pokryjomu się podkradali.

Tak ładnie śpiewało się o tem w dumkach ukraińskich:

„Ne słuchała Kateryna ny bat'ka, ny neńki,
polubyła mołodoho, jak znało serdeńko!
polubyła, polubyła, w sadoczek chodyła —
doki tam swu doliu, na wik ne zapropastyła".

Lecz jakiem to ukojeniem i ciszą otulone bywały futory podobne w tych czasach „zamierzchłych", na kilkadziesiąt lat przed „bezkrwawą rewolucją rosyjską"!... I stawok, i młynok, i wysznewińskij sadok... Raj na ziemi, krótko mówiąc. Było — i zdawać się mogło, że nie minie nigdy owa patrjarchalność.

Już kocz nasz wjeżdża tryumfalnie w bramę dworską, stary stangret Nykita pali ze swego godła furmańskiego — precz z artylerją na pozycji!...

Czcigodni Kasztelaństwo kordjalnie nas witają, przedstawiając rodzicom ujmująco sympatycznego, młodziutkiego oficera - ułana (po cywilnemu oczywiście). Był nim dzisiejszy wiceprezes M. T. Ł., redaktor „Łowca" — przyrodnik - pisarz - myśliwy pierwszej wody — Albert Mniszek!...

Nie mam słów, żeby wyrazić jaki na mnie, podrastającego wyrostka, wywarła zachwyt i czar miła sylwetka i cały sposób bycia pana porucznika...

Wspominam ów wieczór pierwszy, razem na balkonie, przy herbacie i zakąsce spędzony.

Spokój i cisza bajeczna naokół, sąsiedzka gawędka pełna powagi, niezrównanym, szczerym humorem ś. p. ojca mego przetykana, matki mojej płomienny entuzjazm do wszystkiego, co szlachetne, piękne i... polskie. Symfonja barw i tonów po zachodzie słońca, powrót nadlatujących z pól sznurów dzikich gęsi na wodne noclegi... Leciały ogromne ptaki, wspaniale profilując swe hieratyczne szyje, w opalach i różowościach zorzy wieczornej.

— Jutro zaraz po północy, jedziemy na nie, żeby przed odlotem już być zaczajonymi przy „helawach" (czystych taflach wody) — zawyrokował miły pan Albert.

— Zanadto jesteś dziś przemęczony, drogi Adasiu, jutro, jeśli pan porucznik pozwoli, to i owszem...

Płakałem prawie z żalu, lecz każde rodzicielskie słowo prawem podówczas było!... *Dura lex — sed lex*.

Na domiar nieszczęścia, przed udaniem się na spoczynek, przybył kozak z Wierzchowni z jakąś „ekstrenną" wiadomością, wymagającą powrotu ś. p. rodziców razem z moją skromną osobą w domowe pielesze i udaremniającą na ten raz złote projekty.

A pan Mniszek z rannej wyprawy przywiózł kilka pięknych gęsi oraz kaczek niemało.

*

Rys charakterystyczny dla hartu ducha redaktora Mniszka: podczas inwazji Lwowa przez Moskali, pomimo wszystko pozostał na stanowisku. Żadne szykany ówczesnej władzy Wariagów nic wskórać nie mogły. Nigdy nie zapomnę długich, serdecznych z nim rozmów w Kasynie Narodowem, jedyną natenczas ostoją polskości pod pręgierzem barbarzyńskich najeźdźców!... Obcowanie z nim i jego czcigodnymi kolegami klubowymi stanowiło jedyny promień słoneczny w tych tak smutnych czasach.

Sto lat będę żył (a brakuje jeszcze tak dużo, bo aż całych trzydzieści i cztery latka) — nie zapomnę nigdy uroku tego pierwszego spotkania z dzisiejszym Czcigodnym Jubilatem! Jakoteż wspólnych naszych polowań zimowych na terenach wierzchowieńskich, długich z nim, fachowo pouczających rozmów o czarach łowiectwa, o mistrzowsko-celnych strzałach p. redaktora do danieli, zajęcy, bażantów i dzików...



Ogród zoologiczny w Grodnie. „Wiluś". Fot. J. Kochanowski.
(Do artykułu na str. 136).

Kryterjum lat późniejszych otworzyło mi horyzonty „zrozumienia" i podziwu dla młodego oficera, który każdy tak drogocenny w jego wieku urlop, zamiast wykorzystania w otoczeniu rozbawionego towarzystwa naddunajskiego, śród szałów wesołości „Ronacherów" przeróżnych, przy dźwiękach walców praterowskich, najmilszego miasta na świecie, Wiednia przedwojennego — wolał spędzić, jak z regestru, na łonie ukraińskich wód i stepów, wśród bliskich, w całej roztoczy kordjalności i prostoty, jak prostem było ojców naszych życie.

Później w godzinach ciemnych nieraz się nad tem zastanawiałem, delektując się i... ucząc podczas czytania przepięknych opisów, feljetonów, monografij, wspomnień, taką poezją i rzewną liryką przepojonych!... A wspomnienia — słusznie mówi ś. p. Ejsmond — mają w sobie coś z pereł i coś... z łez!

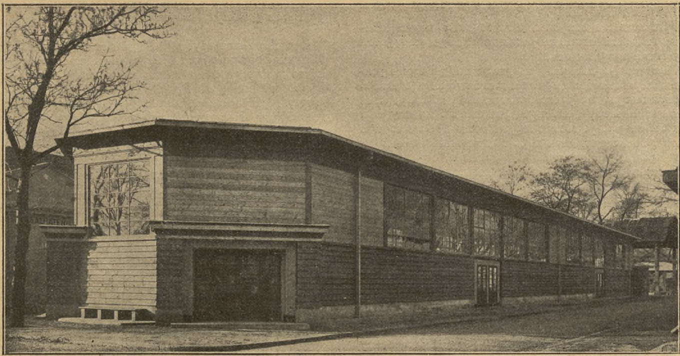
Skromną swą „nić" składam w hołdzie złotemu Pióru i Sercu jednego z luminarzy piśmiennictwa łowieckiego Ojczyzny naszej.

Oby jeszcze długie, długie lata darzył On naszą myśl łowiecką cennemi pracami ze skarbca swej fachowej erudycji!

A kiedyś, kiedy to kolejka nasza nadejdzie — daruj nam, Panie Boże, „polską" Ukrainę w życia zaświatach... Tobie Mistrzu Drogi i skromnemu słudze i przyjacielowi Twej świetlanej indywidualności.

A tymczasem — królewskich jeleni, głuszców, pieśniarzy Odrodzenia, dzików-brutali — puszcz imperatorów, niedźwiedzi — i... zwierzątek łownych i ptaszków bez liku — daj nam święty Hubercie!

ADAM RZEWUSKI.



Pawilon wystawy łowieckiej na terenie targów wiosennych w Wiedniu. (Do artykułu na str. 138-9).

UZBROJENIE STRAŻY ŁOWIECKIEJ.

Dawno minęły te piękne czasy, gdy to gajowy, zbrojny w pojedynkę - kapiszonówkę (zwykle nienabitą) — a głównie w potężną „czereśniówkę" lub jakiś inny kosztur — był postrachem dla kłusowników.

W razie bowiem przyłapania przestępcy następowało, oprócz konfiskaty broni, bardzo gruntowne „lanie" czereśniówką, poczem dostawał kłusownik 3 miesiące aresztu (bez zawieszenia!) — a o jakiemś strzelaniu do dozorcy polowania, lub o jakimś czynnym oporze wobec gajowego słyszało się bardzo rzadko. Gdzieś, raz na rok — najczęściej ze stosunków w krajach alpejskich — słyszało się o jakiemś starciu między kłusownikami a strażą łowiecką, przy akompanjamencie strzałów — czasem zginął kłusownik, rzadziej strażnik, ale były to naogół sporadyczne wypadki.

Obecnie zmieniła się sytuacja gruntownie.

Każdy strażnik łowiecki, zetknąwszy się z kłusownikami, (ci bowiem występują z reguły w liczbie mnogiej), musi się liczyć z tem, że na jego wezwanie do podniesienia rąk do góry i odrzucenia broni, odpowiedzą kłusownicy, uzbrojeni zwykle w dobrą broń wojskową lub myśliwską, strzałami.

Strażnik łowiecki, chcący skutecznie interwenjować, musi być człowiekiem bardzo odważnym *), a przedewszystkiem d o s k o n a l e i o d p o w i e d n i o u z b r o j o n y m.

Problem uzbrojenia straży łowieckiej, lasowej i polowej starano się po wojnie rozwiązać w ten sposób, że nabywano w wojskowych zakładach uzbrojenia stare, wybrakowane karabiny, a więc różnego rodzaju „werndle", manlichery", „meksykany" i t. p., wraz z pewną ilością również wybrakowanej amunicji — i to stanowiło uzbrojenie naszych gajowych.

Ale od czasu wojny upłynęło lat z górą 14 — i dużo się w tym czasie zmieniło. Przedewszystkiem władze, mając zresztą swoje słuszne powody, udzielają bardzo niechętnie pozwoleń na broń długą, a potem zaczyna być coraz trudniej o nabycie amunicji do tych różnych wybrakowanych systemów karabinów.

*) Także ubezpieczonym na życie! *(Przyp. autora)*.

Uzbrojenie strażników łowieckich w broń myśliwską stanowi wielką pokusę i przy zaniku rzetelności i uczciwości, spotykanym obecnie co chwila i przy każdej sposobności, trzeba się liczyć z tem, że ten lub ów strażnik łowiecki sam zacznie uprawiać kłusownictwo. Zresztą strzelba nie jest właściwą bronią przy spotkaniu z „raubszycami" i jest, niby lanca w przepełnionym tramwaju, przedewszystkiem za długa.

Jak więc wybrnąć z tego zagadnienia?

Wedle mego — zresztą zupełnie niemiarodajnego — zdania, które poddaję pod dyskusję, jedyną praktyczną bronią dla gajowego jest porządnie funkcjonujący b ę b e n k o w y r e w o l w e r; przecież policja państwowa, która chyba w tym kierunku ma najwięcej doświadczenia, przeszła obecnie na „nagany", wyrabiane w Państw. Zakładach Uzbrojenia. Również przykłady pouczają nas, że prawie zawsze w wypadkach starcia z kłusownikami, gdy strażnik uzbrojony był w rewolwer, odnosił zwycięstwo, celując prawą ręką z rewolweru, a lewą odbierając strzelbę.

Wykluczam zgóry wszystkie rodzaje automatycznych pistoletów, browningów i t. p., a to z następujących powodów: przedewszystkiem strażnik łowiecki może się bardzo łatwo znaleźć w sytuacji, w której na otwieranie bezpiecznika i t. p. zabiegi nie ma już czasu; często rozstrzygają o „być albo nie być" części sekundy.

Tu jest najlepszy bębenkowy rewolwer, który, ujęty ręką, odrazu daje możność sypania kulami. Zresztą automatyczny wzgl. repetjerowy pistolet jest bronią, wymagającą bardzo fachowej konserwacji, czyszczenia, a przedewszystkiem utrzymywania amunicji (!) w nienagannym stanie, w przeciwnym bowiem razie można się prawie pewnie liczyć z niewypałem.

Kto zna materjał ludzki, z którego uzupełnia się straż łowiecką, ten wie najlepiej, że automatyczny pistolet w ręku Hrycia lub Iwana najdalej do 14 dni będzie zepsuty, bo chłop, powodowany małpią ciekawością, musi zawsze coś manipulować, rozkręcać, aż wkońcu drogocenna broń musi iść do kosztownej reperacji.

A więc — żadną miarą automatyczny pistolet.

Przyjąwszy rewolwer bębenkowy, jako zasadniczą broń dla straży łowieckiej, ustalmy warunki, jakim ma odpowiadać.

1. Kaliber musi być taki, by kula przebijała ze skutkiem najgrubszy kożuch, kurtkę i t. p. i działała pozatem obezwładniająco na danego osobnika. Jako taki uważam zwykły kaliber 9.3 mm. (t. zn. kal. 380) za najpraktyczniejszy. Naboje tego kalibru mają tę dobrą stronę, że są ogólnie bardzo rozpowszechnione i można je wszędzie nabyć. Huk strzału słychać dosyć daleko, co nieraz jest rzeczą ważną (sygnał alarmowy).

Ceny tych nabojów są obecnie jeszcze zanadto wygórowane, ale można żywić nadzieję, że przy masowem zapotrzebowaniu cena naboju zostanie zredukowaną do maksimum 10 gr.

2. Sam rewolwer musi być możliwie prostej i masywnej konstrukcji. Wykluczam więc *a limine* wszystkie rodzaje bezpieczników, a to z następujących powodów:

a) chłop z reguły zabezpiecza broń, bojąc się wypadku, a gdy przyjdzie do jej użycia, zapomni ją odbezpieczyć. Jako przykład zbędności bezpiecznika przy bębenkowym rewolwerze, przytaczam Amerykę, gdzie ludzie mają w tym kierunku doświadczenie, a przecież nie istnieje żaden Colt, lub Smith-Wesson, opatrzony jakimś bezpiecznikiem;

b) bezpiecznik przy rewolwerze w ręku laika prowadzi z absolutną pewnością do zepsucia broni, bo chłop przy zabezpieczonej broni tak długo będzie próbował siłą odciągnąć kurek, aż złamie bezpiecznik lub kurek.

Jako przykład, co chłopska ręka w kierunku psucia potrafi osiągnąć, przytaczam, że jeden z mojej służby strażniczej potrafił przy karabinie „rumuńskim" (Steyer wz. 14), który przetrwał trzy wojny, złamać masywny bezpiecznik grubości 10 mm.!

Wszystkie ozdoby, kanciasta lufka, brunirowanie i t. p., któreby choć minimalnie podnosiły koszty produkcji, muszą odpaść. Zato muszka i celownik muszą być bardzo mocno osadzone, bo, jak praktyka uczy, i tu w kierunku psucia oczekiwać należy całkiem rekordowych rezultatów.

Dosyć duże wymagania postawić należy w kierunku precyzji strzału. Podkreślam to dlatego, ponieważ rewolwery bębenkowe, szczególnie tańszego gatunku, zupełnie nadmiarem jej nie grzeszą. Od rewolweru, z którym gajowy ma zetrzeć się z kłusownikami i bandytami — trzeba wymagać koniecznie, by na odległość 20 kroków wszystkie kule siedziały w kole o średnicy 12 cm.

Wszak gajowy nieraz będzie musiał z rewolweru unieszkodliwić kundla, wałęsającego się w rewirze, kota i t. p. *).

Lufa musi mieć najmniej 12 cm. długości i być porządnie wywiercona, a gwinty precyzyjnie wykonane. Również bębenek (długość 4—5 cm.) musi być tak dopasowany, by w chwili strzału oś danej lufki bębenka leżała na osi głównej lufy rewolweru. Są to zresztą kardynalne reguły konstrukcyjne rewolwerów, znane fabrykantom i nieprzedstawiające dziś żadnych trudności.

Rękojeść rewolweru powinna być gruba i solidna, opatrzona kołkiem na bardzo mocnym trzpionie, bo stanowi ona nieraz także narzędzie walki. Przecież porządne uderzenie rękojeścią rewolweru w głowę uczyni łatwo przeciwnika niezdolnym choćby na chwilę do walki.

A teraz jeszcze jedna rzecz: fabryka, która nastawi się na masowy wyrób jednolitego typu takiego „rewolweru strażniczego", musi się liczyć z masowem zapotrzebowaniem części zapasowych — bo przecież, mimo najbardziej prostego i solidnego wykonania, chłopska ręka potrafi broń uszkodzić. Koniecznem jest tedy, by można było nabyć w fabryce gotowe części zapasowe, które, bez specjalnego dopasowywania przez rusznikarza, mogłyby być każdej chwili założone na miejsce zepsutych. Warunek ten musimy uważać, ze względu na masowy charakter wyrobu i jeden typ broni, jako *conditio sine qua non*. Że to jest łatwe do uskutecznienia, przytoczę jako przykład, że w fabryce Smith-Wessona lub Colta w Ameryce podaje się tylko numer części składowej (uwidoczniony w cenniku) i najbliższą przesyłką pocztową otrzymuje się ją w takim stanie, że wystarczy ją tylko włożyć w miejsce zepsute, i naprawa jest uskuteczniona; cena — minimalna. Zresztą poco aż Amerykę cytować? Wszak fabryka broni w Steyer stosuje ten system już od r. 1902 przy wszystkich swoich wyrobach.

Który model wybrać?

Istnieje w tym kierunku taka moc szczególnie belgijskich fabrykatów, że wybór nie będzie trudny, wystarczy przestudjować kilka cenników większych fabryk, a wybór modelu nie natrafi na żadne trudności; byle tylko nie odbiedz od zasady: „mocny i prostej konstrukcji".

A teraz przechodzimy do największej bolączki, t. j. do ceny takiego rewolweru. Nazywam ten problem z całą świadomością bolączką, bo mam duże obawy, że cena takiego rewolweru, wykonanego w kraju, gotowa wypaść tak wysoko, że nikt nie będzie w stanie go kupić.

Jako przykład cen naszej krajowej broni, przytoczę, że Państw. Zakłady Uzbrojenia wyprodukowały mniej więcej przed 2-ma laty rewolwery systemu „Nagan", najstarszego rosyjskiego wzoru — po cenie 110 zł. (sto dziesięć!) — podczas gdy firma Dmytrach, Lwów, ul. Legjonów 3, oferuje belgijski „nagan" z bębnem na bok wyrzucanym—a więc stojącym o całe niebo wyżej pod względem konstrukcyjnym od tego starego typu „sołdackiego nagana", po cenie 70 zł.!

Jeśli weźmiemy pod uwagę cło, które od takiego belgijskiego rewolweru (waga około 600 — 700 gr.) będzie wynosić około 20 zł. i koszty transportu, to wynika, że w krajowem wykonaniu taki nagan, powinienby kosztować poniżej 50 zł. Nie należy więc dziwić się, że te krajowe „nagany" po 110 zł. (zresztą bardzo solidnie wykonane i bardzo celnie bijące) mają bardzo nielicznych nabywców, t. j. przeważnie funkcjonarjuszy policji państw., którzy *ex officio* mają się w nie uzbrajać.

Ale nawet przy niższej cenie uważałbym ten model za zbyt luksusowy, by nim Wojtka lub Szymona, Hrycia lub Semena uzbrajać. Dla nich musi wystarczyć jakiś bardziej prosty, ale daleko tańszy model.

Obecnie kosztuje w handlu zwykły 9 m/m bębenkowy rewolwer belgijskiego, wzgl. austrjackiego pochodzenia, brunirowany i opatrzony w jakiś (zupełnie niepotrzebny) bezpiecznik, około 35 zł.

W tej cenie leży już cło, wynoszące 10 — 12 zł., koszty transportu i zarobek danej firmy.

Myślę więc, że przy masowej produkcji jednolitego typu, gdy odpadną wszystkie zbędne ozdóbki, powinnaby cena takiego „rewolweru strażniczego" razem z torebką i paskiem nie wynosić więcej, jak 25 — 27 złotych.

Zdaje się, że pod względem handlowym opłacałaby się fabrykacja takich rewolwerów, bo na uzbrojenie choćby wyłącznie dozorców polowania na obszarze naszego państwa potrzebaby około 10.000 sztuk, licząc na 500 ha jednego uzbrojonego strażnika; do tego przybędzie służba strażnicza lasowa i po-

---

*) Pod tym jednym, ale tak ważnym względem wyłączność broni krótkiej w rękach straży łowieckiej nie odpowiada celowi ochrony łowiska przed szkodnikami. Nawet pies rzadko da się zejść w polu lub lesie na kilka kroków, a cóż mówić o dzikich drapieżnikach — o ptakach wreszcie, z któremi z broni palnej tylko śrutem można walczyć. *(Przyp. red.)*

lowa, stróże nocni, bo i ci wszyscy muszą w dzisiejszych czasach masowych kradzieży półkopków z pól, napadów na gospodarstwa i t. p. (z reguły przy akompaniamencie strzałów z uciętych karabinów i rozmaitych nielegalnie nabytych browningów i rewolwerów) być także porządnie uzbrojeni.

Zdaje mi się, że nie przesadzę, gdy zapotrzebowanie na rewolwery strażnicze ocenię na 20.000 sztuk, nie brałem bowiem do kalkulacji tych licznych osadników, zamieszkujących różne odludzia i narażonych na napady rozmaitych bandytów a la Byk i Maczuga, dla których posiadanie takiej broni jest konieczne.

Kończę niniejszy artykuł, prosząc zainteresowanych braci w św. Hubercie, by zechcieli wypowiedzieć swoje zapatrywanie w tym kierunku.

Im więcej piśmiennictwo łowieckie zajmie się tą kwestją, tem większe jest prawdopodobieństwo, że się zainteresują nią wytwórnie broni. Mam tu na myśli tylko Państw. Zakłady Uzbrojenia, bo innych fabryk broni dotąd w kraju, niestety, nie posiadamy — i tem większe widoki zrealizowania rzuconej w tym artykule myśli. W przeciwnym razie zaleje nas zagranica (Belgja i Niemcy) jakimś typem rewolweru, a wtedy fabrykacja tanich krajowych rewolwerów będzie „musztardą po obiedzie".

INŻ. WALERY MARYAŃSKI.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU RZESZÓW.

Dobrze się stało, że rozporządzeniem swojem z dnia 27 grudnia 1934 r. rozszerzył p. wojewoda lwowski czas ochrony dla zajęcy-szaraków w r. 1935 na okres od 20 stycznia do 31 stycznia włącznie. Z uwagi na to, że województwo lwowskie nawiedziły w lecie także poważniejsze klęski elementarne, jak gradobicia, oberwania się chmur, powodzie i że parkoty zajęcze zaczęły się np. w rzeszowskiem — mimo ostrych mrozów — już około 10 stycznia, okazało się cytowane zarządzenie celowe i zupełnie uzasadnione.

Dziwnym conajmniej wydaje się atoli ten fakt, że rozporządzenie to nie zostało natychmiast podane do wiadomości przynajmniej starostwa. Dopiero na osobistą interwencję delegata tutejszy urząd starościński, który jeszcze do dnia 15 stycznia o niczem nie wiedział, zdążył corychlej zawiadomić o wcześniejszem zamknięciu polowania na zające tylko swoje, rozsiane po powiecie, posterunki policji państwowej, których ma 22.

Lepiej byłoby ażeby w przyszłości wszystkie takie zarządzenia ochronne zwierzyny, jeśli zostaną wydane, ukazywały się nietylko znacznie wcześniej, ale ażeby były także powszechnie opublikowane i skrupulatnie przeprowadzane.

*

Wczesna, ciepła i sucha wiosna, tudzież suchy początek lata sprawiły, że drobna nasza zwierzyna dobrze się rozmnożyła.

Późniejsze lipcowe i sierpniowe ulewy i powodzie nie uczyniły już zbyt dotkliwej szkody zwłaszcza wśród kuropatw, które, wylągłszy się o dwa conajmniej tygodnie prędzej, mogły ratować się na skrzydłach i przelatywać na bezpieczniejsze miejsca. O zającach i bażantach nie da się tego powiedzieć.

Na zimowych, zbiorowych polowaniach było bowiem zajęcy mniej, niż w latach poprzednich. Chociaż nie wszędzie...

Tam, gdzie włodarzył swojem łowiskiem energiczny i zapobiegliwy gospodarz, gdzie była dość sprężysta opieka nad zwierzyną, a kłusowników nie było, zające występowały licznie, liczniej nawet, niż dawniej.

Długotrwała i łagodna jesień, chociaż deszczowa, zdezorjentowała pewne gatunki ptactwa przelotnego, które, sądząc, że cała zima będzie zapewne ciepła, nie przeniosło się dość wcześnie na południe, ale zatrzymało się u nas do późna.

Na jednem np. polowaniu leśnem w powiecie kolbuszowskim widziałem sam dnia 29 grudnia dwie słonki. W tym samym dniu obserwowałem także i szpaki. Były jakieś zdenerwowane, niespokojne i latały, zdało mi się, bez celu.

Do połowy grudnia widziało się skowronki i pustułki... Pustułeczki zatrzymały się do końca października i łowiły w powietrzu owady, albo skakały po skibach za myszami. Młode ptaki, bardzo podobne do drzemlików, były często ostrzeliwane.

Jeszcze i dzisiaj z końcem stycznia można wydeptać kszyki na naszych oparzeliskach.

Z drugiej strony dość znaczny nalot myszołowów włochatych wskazywałby raczej na długą, ostrą zimę.

W jaki sposób dostała się do nas czarna mewa, którą zabił w październiku blisko swego domu w Wysokiej p. Bieniaszewski, tego dociec trudno. Przypędziły zapewne tego niezmiernie rzadkiego wędrowca silne wiatry północne. Ptaka oznaczyłem, jako wronę morską, albo wydrzyka pasorzytnego (*Lestris parasita*, Boie).

*

Na kuropatwy zaczęliśmy polować zgodnie z ustawą z dniem 1 września. Odstrzał trwał do 1 grudnia, za długo, jak sądzę, ale że ich było wszędzie bardzo dużo, nic to nie zaszkodziło. Na polowaniach zajęczych widzieliśmy w każdym miocie jeszcze liczne i bardzo liczebne stada. Wśród ubitych jesienią przeważały, jak zawsze, koguty, co najmniej w 70%. Na jakieś 180 kuropatw, które strzeliłem, naliczyłem najmniej 150 samców. Inni myśliwi, dysponujący własnem, strzeżonem łowiskiem i dobrym legawcem, ubili 400 i więcej tych kuraków.

Gorzej było z tem, że z powodu mylnych informacyj w prasie codziennej zaczął się i u nas odstrzał kur już z dniem 15 sierpnia.

Stwierdziłem ten fakt i interwenjowałem. Myśliwi tłomaczyli się, że wyczytali 15 sierpnia w „Polsce Zbrojnej", w „I. K. C.", lub w innych dziennikach. Źle jest, jeśli prasa codzienna zabiera głos w kwestjach myśliwskich, nie poinformowawszy się wprzód u źródła.

*

Ulewne deszcze w listopadzie i w grudniu popsuły nam cały program wyznaczonych na te miesiące polowań. Toteż, gdy w drugiej połowie grudnia pogoda nieco się poprawiła i jako tako ustaliła, poczęły iść gremjalnie polowania w nieprzerwanym porządku za sobą, a gdy w styczniu okazało się nadto rozporządzenie wojewódzkie o zamknięciu polowania na zające z dniem 20 stycznia, nastąpił nieunikniony zamęt polowaniowy i dochodziło do tego, że na jeden dzień wypadały dwa, trzy, a na ostatnią sobotę 19 stycznia aż pięć polowań!..

Kilku terenów nie opolowano wcale. Nie żałujemy tego zupełnie. Nie jest to strata, raczej zysk. Wszak tam zwierzyna nasza! Niechaj się chowa zdrowo i mnoży. Będzie jej więcej w następnym sezonie.

*

A teraz kilka wyników, z których wywnioskować będzie można o bogactwie naszych łowisk i o czynnikach, które się na nie złożyły.

Polowano przeważnie na zające i lisy. Do jeleni i rogaczy nie strzelano, bo był śrut w lufach. A dzików, jakby nie było.

Zające były wyrośnięte, zdrowe i tłuste. Szły po 2 zł. za sztukę i to do Katowic, bo konsumcja miejscowa przejawiała się słabo.

Motylica nie spowodowała strat prawie żadnych. Ale tu i owdzie porywała ofiary. Lisy były przeważnie bardzo piękne. Strzelono jednak i kilka parszywych, i to kompletnie. Celny strzał skrócił ich męki straszliwe. W jednem łowisku wyginęły bażanty z powodu spożycia zatrutej, do nor mysich wsypanej pszenicy.

Pięknem prawdziwie było opisane już w „Łowcu Polskim" polowanie w Przewrotnem u p. Stanisława Politalskiego, gdzie w dniach 17 i 18 grudnia ubito w dwu kotłach polnych i w lesie przy udziale 19 myśliwych i na 1.086 strzałów: 277 zajęcy, 2 lisy, 1 rogocza i 1 słonkę. (Dane podał właściciel). Odbyło się ono po błocie przy + 14° C. Zajęcy nie można było wypędzić z zasnutej mgłą i ciemnej kniei, i z trawisk wysokich. Oprócz licznych przepuszczonych lub popudłowanych zajęcy, przegapiono, lub spudłowano jeszcze sześć lisów. Dwa dziki uderzyły na naganikę. Młody gospodarz i opiekun tej wspaniałej kniei odebrał zasłużoną nagrodę za swoje trudy i starania.

Efektowne polowanie urządził swoim gościom p. inż. Ignacy Konopka w lesie w Tropiu, pod Strzyżowem. W 12 strzelb ubito tam 27 października: jednego dzika (przelatka), strzelonego

śrutem w ryj na 10 kroków, 4 lisy, 47 zajęcy, 1 jarząbka, 14 bażantów i 1 słonkę.

Urok polowania polegał na różnorodności zwierzyny — a daje ją myśliwym tylko las. Jeszcze piękniejsze mieliśmy u p. Stanisława Korwin Milewskiego w głogowskiem leśnictwie. W 10 strzelb ubito 31 października: 21 zajęcy, 1 rogacza, 2 lisy, 5 kuropatw i 6 (sześć) słonek. Do dwóch cietrzewi spudłowano. Myszołowa zwyczajnego uśmiercono przez pomyłkę, a do gołębiarza tak starego, że był prawie biały, który ze słonką w szponach usiadł w gęstej drągowinie tuż przed stanowiskiem, strzelić nie zdołano, tak szybko wzniósł się w górę między gałęzie i odleciał. Ulegnie on jednak swojemu losowi niebawem przy puhaczu. Słonek widziano 14 i do nich strzelano, i one to były tą wysoką atrakcją, jaka umilała te cudne łowy.

10 listopada polowało Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych na polach w Siedliskach i w Zarzeczu. W ośm strzelb ustrzeliliśmy 30 zajęcy i 9 kuropatw. W dwu kotłach widzieliśmy gołębiarze. Jeden wymknął się ze strzału, drugi strzelany odleciał ze zwieszonemi skokami, porzuciwszy domowego gołębia, którego skubał na roli.

1 grudnia urządził nam miłe polowanie p. Jan Jędrzejowicz w dzierżawionej przez siebie kniei, w Łące. W grubym, podmokłym lesie ubito w ośm strzelb: 20 zajęcy i 1 lisa. Niewiele było zajęcy, to prawda, ale zato jakie dorodne, wielkie, stare! Widzieliśmy także wiele sarn i kilka jeleni.

22 grudnia polowało Tow. Myśliwych w Przybyszówce. W sześciu kotłach przy udziale 17 strzelb ubiliśmy tylko 125 zajęcy. Zważywszy, że przed kilku laty strzelono na tym samym terenie 375 zajęcy, z czego w jednym kotle 217, stwierdzić trzeba znaczny ubytek tej zwierzyny. W trzecim kotle strzelano bez skutku do gołębiarza, który, uchodząc przed krzywemi śrutami, puścił ze szponów koguta-kuropatwę, już nieżywego. W małej remizie w drugim kotle naliczyliśmy: 4 koguty i 12 kur bażancich.

Wigilijne polowanie urządziło Tow. Myśliwych w Staroniwie. W 11 strzelb ubito 57 zajęcy. Również o wiele mniej, niż np. w zeszłym roku. Ubytek spowodowały zapewne liczne psy, włóczące się po polach, którym jeden dozorca dać rady nie może.

29 grudnia wypadło polowanie w Jasionce w lesie u p. Jędrzejowicza. W 10 strzelb strzelono 27 zajęcy i 1 lisa. Także mało! A knieja to piękna, pełna gąszczy i kultur sosnowych.

31 grudnia wypadło polowanie Towarzystwa w Związczycy. Wzięto pięć kotłów polnych i jeden miot z wiklinami nad Wisłokiem. W 16 strzelb ubito 104 zające, 11 kogutów bażancich, 1 lisa i 1 krogulca. Dwa duże mioty nad rzeką, które nawiedziła powódź, opuszczono.

Bażanty, które mają w wiklinach wymarzoną egzystencję i kuropatwy — obowiązkowo się dożywia. Mimo codziennej kontroli, zaglądają tam nieraz podmiejscy wnykarze i zastawiają sidła, zwykle bezskutecznie, zapędzają się psy bezdomne i włóczą się koty. Trudna z tymi szkodnikami walka, szczególnie w lecie. Ale się toczy.

W tym samym dniu odbyło się udatne polowanie w lesie w Zaczerniu u p. Jana Jędrzejowicza. W 11 strzelb strzelono 64 zające, 3 lisy (dwa z wnykami na szyjach) i znowu myszołowa północnego, chyba omyłkowo...

Dwudniowe polowanie w Rudnej Wielkiej u p. Stefana hr. Dąmbskiego ma już swoją ustaloną i chwalebną reputację. Wzorowa organizacja, porządek i sprawność w prowadzeniu łowów zarówno w polu, jak i w lesie, obfitość zwierzyny — oto ważkie plusy Rudnej. Drugiego stycznia polowano w kotłach i ubito w ośm strzelb: 141 zajęcy, 1 lisa i 2 bażanty trzeciego stycznia wypadła knieja, w której przy udziale 12 myśliwych znalazło się na pokocie: 89 zajęcy, 5 lisów i 3 koguty bażancie. Z powodu silnego wiatru ze śniegiem i okiści dużo zwierzyny uszło bez strzału, albo spudłowanej. Kochany gospodarz chodził z laską jeno, bo miał w każdym miocie tylko 12 stanowisk i 12 gości przybyło na jego wezwanie.

4-go stycznia odbyło się małe polowanie leśne, urządzone przez młodych w tak zw. „Przylasku" u p. Jana Gumińskiego. W 10 strzelb ubito: 32 zające i 3 lisy. Zaśnieżone gąszcze, za długie mioty, za mało naganki, a przedewszystkiem dotkliwe zimno — wszystkie te czynniki umożliwiły zwierzynie masową ucieczkę przed śmiercią.

W Bratkowicach, na polach polowaliśmy w dniu 5 stycznia. Kochani i przezacni gospodarze, pp. inż. Emilewicz Piotr i inż. Jurkowski Edmund, pokazali nam, co znaczy dobra opieka nad terenem, dość odległym i dlatego eksponowanym. W 10 strzelb ubito tam 101 zajęcy. „Królestwo" wystrzelał sobie p. dr. Adam Midowicz, ubiwszy sam 39 zajęcy! Strzelał, jak zawsze i wszędzie fenomenalnie i niezwykłe miewał spotkania. On też prowadził po mistrzowsku to interesujące polowanie.

12 stycznia polowało Tow. Myśliwych w Niechobrzu. W sześciu polnych miotach i w pięć strzelb ubiliśmy 80 zajęcy. Mnóstwo zwierzyny przedarło się przez nagankę, co było zjawiskiem zupełnie naturalnem, gdy między myśliwymi kroczyło 12 naganiaczy, zajmujących kilometrowe przestrzenie. Opolowano zaledwie połowę terenu. Prowadził prezes Towarzystwa p. dr. Midowicz, który znowu okazał się strzelcem niepokonanym zgasiwszy efektownemi strzałami życie 32 zajęcy!

Stwierdziliśmy zatem w Niechobrzu zwierzostan wspaniały zarówno wśród zajęcy, jak i kuropatw.

Na 14 stycznia wypadł las w tak zw. „Rzeczniakach" u p. Adama Uznańskiego. W cztery strzelby ubiliśmy 35 zajęcy i 2 lisy. Trzeci spudłowany, uszedł.

W każdym miocie widzieliśmy sarny i kilka jarząbków.

16 stycznia polowaliśmy w Świlczy, dzierżawionej od lat długich przez p. d-ra Adama Midowicza. Obwód ten, znany z dobrej gospodarki, nigdy też nie zawodzi. I w tym dniu strzelono tam w 19 strzelb 164 zające i myszołowa kosmacza, wziętego przez wytrawnego poniekąd myśliwego za sokoła wędrownego.

Na drugi dzień urządził nam p. Midowicz polowania kociołkowe na innym swoim terenie, w Zgłobniu. Od kiedy tam poluję, a więc od lat 14-tu, nie ubito tyle zajęcy, co 17 stycznia b. r. Przy udziale dwunastu myśliwych znalazło się na pokocie: 135 zajęcy i krogulec.

Liczba wprost rekordowa. A zdarzyło się tam katastrofalne oberwanie chmury. Tłomaczą to tą okolicznością, że zarówno w Zgłobniu, jak i w Świlczy, niema chyba kłusowników, ani wnykarzy, co znowu może być objawem wielkiej sympatji, jaką się cieszy p. dr. Midowicz wśród tamtejszej ludności włościańskiej.

19 stycznia polowaliśmy na polach Stobiernej i Wysokiej u p. Bieniaszewskiego Kamila. W 17 strzelb ubito zaledwie 80 zajęcy... Oba łowiska zawiodły... Gdzie się podziały owe liczne zające, które spłoszyliśmy, polując tam w dniu 1 września na kuropatwy?.... Może uszły do pobliskich lasów po szalejącej dzień przed tem śnieżycy?... Mnie się jednak wydaje, że wybili je jacyś nieuchwytni kłusownicy, których jest legjon cały w obu wymienionych wsiach.

W tym samym dniu polowało Tow. Myśliwych w Kielanówce i Racławówce. W sześciu polnych kotłach ubito w 10 strzelb: 113 zajęcy. Stwierdzono bardzo dobry stan. Zawdzięczyć go musimy miejscowemu proboszczowi, ks. Marcelemu Sochańskiemu, członkowi honorowemu Tow. Myśl., który, tłomacząc wiernym wytrwale, nawet z kazalnicy, że ubijanie cudzych zajęcy jest ciężkim grzechem przeciw siódmemu przykazaniu Bożemu, kłusownictwo ze strzelbą doprowadził do zupełnego zaniku. O wnykarstwie tego mniemania zaryzykować nie można. W kościołku wiejskim w Zabierzowie, w którym ks. Marceli sprawuje święte obrządki, znajduje się przepiękny witraż z wizerunkiem św. Huberta, ufundowany przed dwoma laty przez Rzeszowskie Tow. Myśliwych.

*

Podana statystyka, aczkolwiek niezupełna, dowodzi, że stan zajęcy był u nas naogół zadowalający, a na terenach lepiej strzeżonych nawet bardzo dobry.

Jeśliby chodziło o amunicję, jakiej na polowaniach używano, to posługiwano się albo „Darzborami", wymagającemi dobrych strzelb czokowych, albo nabojami „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej", które bardzo chwalono.

Ciekawy wypadek zdarzył się z kłusownikami. Oto w dniu 10 listopada przeszli z pól wysockich trzej kłusownicy na terytorjum gminy Jasionki, dzierżawionej przez p. Jędrzejowicza i strzelali do zajęcy. Zaalarmowana niespodziewanemi strzałami straż łowiecka, poczęła ich zaraz ścigać. Wyparci z terenu uciekali kłusownicy ku Wisłokowi, a naciskani dalej już ostro, skoczyli bez namysłu ze strzelbami i zającami z wysokiego brzegu w nurty wezbranej i głębokiej w tem miejscu na 5 m, rzeki... Przebyli ją wpław, pogubiwszy strzelby i zwierzynę, a jeden z drabów omal nie utonął. W rezultacie wszyscy uciekli do rodzinnego, jak się zdaje, Łukawca. Co się z ni-

mi dalej stało, nie wiemy. To jednak pewne, że już żaden z nich tak rychło nie wybierze się na złodziejską wyprawę.

Jak długo nie było śniegu, mogła nasza zwierzyna cieszyć się zdrowiem i życiem. Ale gdy spadł, zaczęła się jej niedola. Kuropatwy jęły coraz częściej podchodzić do chałup, lub stawać się jakże łatwym łupem gołębiarzy i sokołów, a zające wpadać w zastawione na ich ścieżkach — wnyki. Po każdej ponowie przynosili nasi strażnicy całe naręcza włosiennych sideł i drucianych wnyków, wyzbieranych w łowiskach.

O dożywianiu zajęcy i kuropatw owsem w snopach, lub koniczyną i pośladem mało kto u nas myśli, co wobec istniejącego kryzysu dziwnem wcale się nie wydaje. A jeszcze niedawno bywało inaczej!

Sądy nasze karzą ostro wszelkie przestępstwa łowieckie. Rok więzienia za zabicie rogacza, a sześć miesięcy za złapanie w sidło zająca — nie należą do wyroków wyjątkowych.

Podaję jeszcze liczbę wykupionych kart łowieckich: trzyletnich od r. 1932, rocznych i sezonowych (czternastodniowych) z r. 1934.

Jest ich razem 104. W spisie znalazłem nazwiska zupełnie nieznane, albo nienależące do żadnego zespołu łowieckiego. Uważam, że kart łowieckich wydano za wiele, być może dlatego, że w tutejszem starostwie wystawia się je bez zasięgania opinji delegata powiatowego, który siedzi na miejscu, zna mniej więcej wszystkich polujących w powiecie, lub o nich słyszy, a który pragnie gorąco współpracy z władzą nad podniesieniem gospodarki łowieckiej.

W lutym b. r. wygasają u nas ustawowo kontrakty dzierżawne dla obwodów łowieckich wspólnych, jak również i mandaty starych spółek łowieckich. Nadejdą więc niebawem wybory nowych w liczbie trzech ludzi, dysponujących obwodem wspólnym według swego uznania, to zn. oddających polowanie albo z wolnej ręki, albo w drodze publicznego przetargu. Zależnie od nastawienia politycznego albo socjalnego osób spółki, mogą one oddać prawo polowania dotychczasowym dzierżawcom, albo ludziom nowym. Słyszałem już, że tu i owdzie łączą się chłopi w spółki myśliwskie, by odebrać polowanie np. dziedzicom. Gdyby tak się stało, nastąpiłaby rychło katastrofa dla zwierzyny, gorsza od zarazy, gradobicia i powodzi. Polowanie wziąłby, oczywiście, jeden, ale dobrałby sobie zaraz kilkunastu wspólników i polowałby z nimi dzień po dniu nietylko w sezonie, ale i w czasie ochronnym i tak długo, dopókiby nie wytępił zwierzyny do ostatniej sztuki.

Stwierdzam to na podstawie wielu smutnych doświadczeń.

Pocieszającą jest jednak tendencja ustawy, że dzierżawę łowiska powinien uzyskać myśliwy, który daje solidną gwarancję, że zwierzyny wybijać nie będzie, a nie ten, który wyższy czynsz oferuje. Miejmy zatem nadzieję, że starostwo nie przyjmie do wiadomości kontraktów dzierżawnych o wątpliwej wartości.

WŁADYSŁAW GÜRTLER.
delegat P. Z. S. Ł. na pow. i m. Rzeszów.

WIOSNA!... WIOSNA!...

Piszą do nas myśliwi:

W powiecie kutnowskim w dniu 19 lutego b. r. zaobserwowano przelot dzikich gęsi, przylot skowronków, rozbijanie się stadek kuropatw na pary.

W powiecie łomżyńskim w dniu 20 lutego b. r. na polach majątku Zabrodzie pod Kolnem osiadło stado dzikich gęsi, złożone z 16 sztuk. Miało to miejsce o godzinie 15-ej, a więc jeszcze przy dziennem świetle.

W powiecie sochaczewskim obserwowano 20 b. m. przelot licznych gęsi, między innemi widziano stado złożone z około 150 sztuk, lądujące na odpoczynek.

Pod Warszawą obserwowano w ostatniej dekadzie lutego rozbijanie się stad kuropatw na pary.

Z coraz liczniejszych okolic kraju napływają te same wiadomości, z drobnemi tylko różnicami dat co do spostrzeżeń, poczynionych przez myśliwych.

Około 20—22 lutego sygnalizowano z różnych stron przylot bocianów!!!

Czyżby już zima naprawdę odeszła?

WUZET.

OGRÓD ZOOLOGICZNY TOW. MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY W GRODNIE.

W wędrówce po miastach i miasteczkach Kresów Wschodnich w zdumienie wprowadził mnie ogród zoologiczny w Grodnie.

Obejmuje on niewielką przestrzeń, zaledwie 3 ha. Na wstępie uderza niezwykła schludność; gęsto rozstawione ławki ogrodowe, pomalowane na popielaty kolor zapraszają do odpoczynku. Setki ozdobnych drzew i krzewów, pomysłowo zasadzonych, robią wrażenie miłego parku.

Klatki i stanowiska, ich rozmiar, urządzenie i wzorowa czystość, w jakiej są utrzymane, wskazują na umiejętną gospodarkę.

Na szczególną uwagę zasługuje nowowybudowany dom dla egzotycznych zwierząt z obszernemi klatkami wewnątrz i zewnątrz budynku.

Przy każdej klatce umieszczone są tabliczki za szkłem, w metalowych ramkach, które zawierają dokładny opis danego okazu oraz jego podobiznę, ręcznie kolorami malowaną. Ułatwia to zwiedzającym rozpoznawanie okazów, o ile po kilka różnych gatunków znajduje się w jednem pomieszczeniu.

Wspaniały, betonowy basen dla wydry, z wyspą pośrodku i domkami, bardzo przypadł do gustu pupilce ogrodu zoologicznego „Wydrusi", która na zawołanie przypływa do brzegu, służy, stojąc na tylnych łapach i bawi się z człowiekiem, jak mały pieszczony kociak.

Również brunatny niedźwiedź, imć pan Józef, na zawołanie: „cześć!", przykłada w siedzącej pozycji łapę do głowy, albo też wyciąga obie przed siebie, prosząc w ten sposób o smakołyk. Nawet srogie lwy cieszą się z odwiedzin publiczności, a z dozorcami żyją w nadzwyczajnej przyjaźni, podają łapę, liżą po głowie, a nawet na samo zbliżenie się dozorców wydają radosny pomruk.

Lampart — rozpieszczony „Punik" bawi się z publicznością, pozwala się głaskać, z uciechy urządza w swej klatce nadzwyczaj zręczne skoki na drzewo.

Małpkom trzebaby poświęcić cały rozdział, żeby opisać ich figle i radość z powodu odwiedzin publiczności. Może nietyle radują ich odwiedziny, jak przysmaki, któremi są obdarzane.

Młody ryś wprost z ręki bierze pożywienie. Zwinne kuny kamionki i kuny leśne tumaki wyprawiają tysiączne gonitwy. Kiedy dozorca sprząta w ich klatce, wskakują mu na ramiona, chowają się do kieszeni, zrzucają czapkę z głowy i t. p. Tak samo zachowują się i tchórze.

Również i ptaki, zwłaszcza puhacze, bawią się z dozorcą, chwytają go za włosy, szarpią ubranie i t. p. Grodzieński ogród zoologiczny posiada oddzielną woljerę dla sów, a jest ich sporo i rozmaite, jak puhacze, płomykówki, sówki, pódźki, sowy błotne, leśne, uszate i puszczyki.

Drobne ptaki, jak drozdy, kosy, szpaki, gile, dzwońce, szczygły, zięby, czyżyki, krzyżodzioby, sikorki, i t. p. umieszczone są w ogromnej woljerze z krzewami pośrodku, tak, że czują się, jak na swobodzie.

Obok klatki z chińskim słowikiem umieszczone są papużki faliste: zielone, żółte i niebieskie, które szczebiotem swym przyciągają zwiedzających. Dumne pawie swobodnie spacerują po ogrodzie.

Niezwykle ruchliwe jest życie ptaków na stawie, specjalnie dla nich wybudowanym, z wysepką pośrodku i domkiem dla łabędzi. Wśród stada dzikich kaczek krzyżówek, podgorzałek, cyranek, czarnych kaczek japońskich, dzikich gęsi, łabędzi, mew, czapli, czarnych i białych bocianów, największą sympatją cieszy się nur czarnoszyi. Piękny ten ptak z szaloną szybkością, bezszelestnie mknie zarówno po wodzie, jak i pod wodą. Dzikie kaczki, czarne i białe bociany, oraz czaple cieszą się taką swobodą, że odlatują z ogrodu zoologicznego na łąki i błota, niekiedy nawet na cały dzień i wracają, przyprowadzając nierzadko z sobą swych dzikich towarzyszów.

W wielkiej woljerze pędzą żywot orliki, kanie, gołębiarze myszołowy, sokoły wędrowne, pszczołojady, krogulce, błotniaki i t. p.

Prześliczne bażanty, których grodzieński ogród zoologiczny ma aż 8 odmian, z dumą prezentują swą krasę. Obok bażantów w ogromnej woljerze, będącej właściwie ogródkiem z krzewami i basenem, umieszczone są drobne ptaki, jak bataljony, kuliki, łyski, kurki wodne, czajki, kulony i inne. Szczególnie bataljony wiosną przyciągają uwagę zwiedzających, dzięki zmia-

nie swego wyglądu zewnętrznego (porastania barwnych kołnierzy i czubów) i czupurności.

Również wielką sympatją cieszy się woljera z gołębiami. Prócz różnych gatunków ozdobnych gołębi, w woljerze tej umieszczone są wszystkie gatunki dzikich gołębi.

Miłe dla oka są klatki z różnemi gatunkami królików domowych i dzikich, ze świnkami morskiemi, białemi szczurami łasiczkami, gronostajami, popielicami i wiewiórkami.

Nieco z boku, oddalone od innych woljer, klatek i stanowisk, umieszczone są wilki, lisy, borsuki i dziki wraz z młodemi. Wszystkie te zwierzęta są do tego stopnia oswojone, że biorą z rąk pożywienie i pozwalają się głaskać.

Sarenki, daniele, jelenie również są bardzo oswojone.

Czterorogi baran Bazyl, ulubieniec publiczności, spaceruje swobodnie po ogrodzie i chętnie zjada tytoń i papierosy. Osiołek Kuba cieszy się specjalną miłością dzieci, gdyż zażywają na nim przejażdżki po ogrodzie na wygodnem siodełku.

Najzabawniejsze jest to, że zwiedzających przy wejściu do ogrodu zoologicznego wita kruk, który wymawia kilka słów i szczeka. Kruk ten zapytany o swoje imię, odpowiada: „Krukuś". Asystuje on publiczności przez cały czas zwiedzania ogrodu.

Trudno opisać wszystkie okazy, gdyż jest ich przeszło 400 sztuk. Wygląd ich i zachowanie wymownie świadczą o pieczołowitej opiece, jaką są otaczane.

Ogród zoologiczny Towarzystwa Miłośników Przyrody w Grodnie dąży do posiadania wszystkich okazów krajowych, a ponadto rozszerza ogród przez stopniowe nabywanie egzotycznych. Działa planowo, aby przedewszystkiem zapoznać młodzież szkolną i zwiedzającą publiczność z okazami znajdującemi się w Polsce.

W ciągu ostatnich trzech lat ogrodem zoologicznym opiekuje się osobiście prezes Towarzystwa Miłośników Przyrody, pułkownik Bronisław Adamowicz, znany w Grodnie świetny myśliwy i hodowca, który wielkie zasługi położył dla rozwoju łowiectwa, a szczególnie na terenie Oficerskiego Klubu Łowieckiego Garnizonu Grodno.

W stosunkowo krótkim czasie pułk. Adamowicz przez wybitną gospodarkę, organizację, jak również dzięki zamiłowaniu i szerokiej wiedzy w zakresie zoologji, rozszerzył mały ogródek o kilkunastu okazach do rozmiarów prawdziwego ogrodu zoologicznego. Zasługi pułk. Adamowicza są tem większe, że rozszerzył ogród w czasie największego kryzysu gospodarczego i w czasie wstrzymania wszelkich subwencyj. Środki, potrzebne na utrzymanie i kupno okazów, zdobywał i zdobywa on przez werbowanie członków T-wa Mił. Przyrody i urządzanie imprez dochodowych.

A więc szczera, bezinteresowna praca i dobre chęci wiele mogą zdziałać.

Ogród zoologiczny w niewielkim m. Grodnie (50.000 m.) nietylko może się utrzymać, ale i w szybkiem tempie rozwijać się.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

LISTY DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mój alarm co do niebezpieczeństwa wilków w przyszłym karpackim rezerwacie fauny („Ł. P." Nr. 1, str. 9) i uwagi co do walki z niemi, między innemi środkami, strychniną — wywołał odmienną opinję p. Długołęckiego, podaną w późniejszym „Ł. P." Nr. 4, str. 76.

Otóż winienem stwierdzić, że z pewnością jesteśmy jednego zdania co do niebezpieczeństwa takiej trutki, boć każdy, mający z nią w praktyce do czynienia, musi podzielać zdanie p. Długołęckiego. Przedewszystkiem więc tegoż zdania muszą być czynne w rezerwacie organy ochronne z jego administracji i wiedzieć, że zatruty baran nie może być pozostawiony niedbale i bezterminowo swemu losowi w kniei, lecz po właściwym, a krótkim terminie użycia — musi być dobrze zakopany — co czyni obawy o zniszczenie użytecznego ptactwa zupełnie płonnemi. — Rezerwat bez odpowiednio funkcjonującej ochrony byłby tylko tytularnym rezerwatem, a w rzeczywistości gorszym terenem kłusownictwa, niż normalnie administrowane nadleśnictwo. Takiego nie chcielibyśmy mieć nigdzie — a tembardziej w ciężkich terenowo Karpatach!

Łączę wyrazy mego prawdziwego poważania

Władysław Burzyński

NA MARGINESIE CHOROBY ŁOSI W NADL. WIADO.

W związku z niedawno stwierdzoną chorobą łosi, jaka panuje w nadleśnictwie Wiado, otrzymujemy od jednego z naszych korespondentów, p. Leona Bychowca, Delegata P. Z. S. Ł. na pow. Wołkowysk, szereg uwag, wiążących się z powyższą sprawą.

Informator nasz przypomina, że przed laty, w czasach przedwojennych, kiedy jeszcze Puszcza Białowieska „karmiła" zwierzyną sąsiednie puszcze i pomniejsze lasy, zdarzyło się coś podobnego.

Wówczas bezpośrednią przyczyną choroby łosi stało się sprowadzenie przez zarząd Puszczy Białowieskiej jeleni i danieli, gdy to bowiem nastąpiło, z ogrodzonych terenów puszczy pozostał jeden tylko wylot na wschód i na błota, zwane „Litewskiemi" (osuszono błoto „Nikor"), zaś pastwiska wyzyskały jelenie, a „zapowietrzyły" je daniele.

Łosie wtedy, sparte na tej przestrzeni, wyemigrowały odwiecznym szlakiem, położonym na północ od błot Jasiołdy i poszły na tułaczkę poprzez lasy łyskowskie. Po drodze okrążane, szczute, bite i strzelane, usłały całą rozciągłość swego wędrownego szlaku trupami, aż wreszcie tylko niedobitki dostały się do Puszczy Różańskiej.

„Była to — pisze p. Bychowiec — krwawa, cztery lata trwająca (1899—1904) epopea zniszczenia białowieskich łowisk".

Np. osada Nowy Dwór (pod Grodnem) położyła pokotem przez jedno lato 47 łosi, co stało się bezwątpienia jednym z rekordów kłusowniczego rabunku grubej zwierzyny. Drugim z takich „rekordów" stał się jedyny dzień, w którym wyniszczono 27 żubrów. Uczynili to mieszkańcy wsi Nowosiółki, gminy Porozów, pow. Wołkowysk. Wsławił się nieżyjący już Konstanty Sławecki, który sam zabił w tym dniu 9 żubrów.

We wspomnianych latach (1899—1904) szły łosie szlakiem łyskowskim nieraz ranne, często chore, wynędzniałe; w 1900 r. oglądano padłe łosie bez widocznych śladów postrzału.

Miejscowi kłusownicy, znawcy życia kniei i zwierzyny, twierdzili, że zarazę do łosi zawlekły jelenie i daniele białowieskie.

W ostatnich latach kilka jeleni przerwało się z Białowieży na Polesie, dążąc tym samym szlakiem. Czy rzeczywiście nie zaniosły one epidemji łosiom poleskim?

„Zdawaćby się mogło — pisze p. Bychowiec — że tylko odgrodzenie zarażonego terenu od sąsiednich ostoi łosi i to jeszcze przeprowadzone po śniegu, przed nastaniem wiosny, dałoby pożądany wynik, gdyż wiosną już łosie z zimowisk swych ruszą i pójdą brzegami błot, po lasach, roznosząc wszędzie chorobę".

Kosztowna to wielce sprawa, lecz kto wie, czy wobec niemożności ustalenia istotnych przyczyn zachorowania padłych łosi, a więc i środków, zwalczających tę epidemję, nie byłaby jedyną skuteczną bronią dla uchronienia dzisiejszego pięknego stanu łosi na Polesiu, do którego doszliśmy dzięki wielkim kosztom, trudom i troskliwej opiece ochronnej.

WŁ. Z.

Z KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE.

Zarząd Klubu Settra Angielskiego w Polsce zawiadamia, że dnia 28 kwietnia r. b. odbędą się próby polowe.

Zapisy na próby polowe przyjmuje i wszelkich informacyj udziela Sekretarjat Klubu od godz. 16—18 (tel. 8-53-19), ul. Piusa XI — 31 m. 2.

Skład komisji sędziowskiej będzie następujący: pp. J. Dylewski, W. Garczyński, dr. Gtymiński, K. Kamieński, inż. J. Wodziński.

Jednocześnie Klub zawiadamia, że z jego inicjatywy dnia 7 marca r. b., w lokalu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich (N. Świat 35), o godzinie 20-ej odbędzie się a k t u a l n y o d c z y t dr. wet. Edwarda Szylelbajna, na temat: „Ż y w i e n i e i p i e l ę g n o w a n i e p s ó w". Wstęp na odczyt wolny dla wszystkich stowarzyszonych i gości.

Klub rozporządza następującemi reproduktorami wśród psów polowych: setter angielski „Surprise Gene" po Surprise - Rouge i Floksie, wł. p. Zygm. Tarnowskiego; settry irlandzkie: „Boy" po Astrze i Rinku, wł. inż. Krotkiewskiego i „Bim" po Astrze i Rinku, wł. p. Krassowskiego.

Uprasza się wszystkich członków Klubu o zgłaszanie swoich psów polowych, przeznaczonych na reproduktorów.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„LE SAINT-HUBERT".

Nr. 12/1934, str. 293. A. Andrieux *„Polska"*. — Autor, członek St. Hubert Club de France, jako uczestnik zjazdu Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Warszawie, brał udział w wyprawie myśliwskiej, zorganizowanej przez Komitet przyjęcia na wiosnę 1934 r. W szeregu barwnie napisanych artykułów, ilustrowanych doskonałemi własnemi rysunkami, opisuje p. Andrieux urok naszych polowań wiosennych na głuszce, cietrzewie, słonki i kaczory w lasach radziwiłłowskich i na rozlewiskach Prypeci, odsłaniając przed czytelnikiem francuskim nowy, egzotyczny w swej pierwotności kraj poleski. Wspomnienia autora, nacechowane szczerym podziwem dla odrębnego piękna naszej ojczyzny, stanowią wybitnie pożyteczny materjał propagandowy.

Nr. 12/1934, str. 297, W. d'A. *„Skromne polowania w Anglji"*. — Wielkie nakłady, z któremi normalnie połączone jest w Anglji wykonywanie polowań, zachęciły autora do zaznajomienia czytelników francuskich z innym typem polowań, uprawianych w Anglji przez ludzi, nierozporządzających środkami, a posiadających t. zw. żyłkę łowiecką. W tym celu przytacza on artykuł z pisma „Game and Gun" (Zabawa i strzelba), którego autor, dotknięty kryzysem, stara się zadowolnić swą pasję łowiecką w sposób najtańszy. W tym celu wyszukuje on w pobliżu morza teren 2-hektarowy, bagnisty, przecięty kilku rowami, porosłemi trawą i krzaczkami. Na terenie tym, uważanym za zupełnie pozbawiony zwierzyny, w ciągu 22 dni myśliwskich w okresie od września do stycznia ubił autor wraz z uczniakiem, towarzyszem wypraw: 26 kszyków, 21 bekasików, 6 kulików, 5 siewek, 3 cyranki, 1 krzyżówkę i kilka kurek wodnych, razem przeszło sześćdziesiąt kilka sztuk ptactwa — za cenę paczki tytoniu, ofiarowanej właścicielowi terenu.

Nr. 12/1934, str. 300. P. Sadler *„Zdziczenie kuropatw"*. — W przytoczonym artykule zwraca autor uwagę na stwierdzone przez niego w ciągu paru lat ostatnich wyraźne zdziczenie, a właściwie zwiększoną ostrożność kuropatw. Normalne polowanie z podrywu w okresie letnim nie daje we Francji prawie żadnych wyników: po pierwszym strzale do stada kuropatw przenosi się ono na miejsca otwarte (ściernisko, lub łąkę czy ugór) i nie daje się potem podejść bliżej, jak na pareset kroków. Przypisuje to zjawisko autor nauce kur-matek, które doświadczenie, nabyte w roku poprzednim, starają się wpoić młodzieży. A znowu na doświadczenie to wpływa coraz bardziej wzrastająca ilość myśliwych oraz ulepszona, dalekonośna broń.

Nr. 12/1934, str. 304, J. Oberthür. *„Zwierzyna Francji"*. — Autor rozpoczyna artykułem tym zakrojoną na większą skalę pracę, poświęconą opisowi zwierzyny, znajdującej się we Francji. Księga I-a zawierać będzie ptactwo wód słodkich (błota stawy, rzeki), rozdział obecny poświęcony jest rodzinie bekasów (kszyk, bekasik, dubelt, słonka). Obok szczegółowego opisu upierzenia, budowy, zwyczajów i gniazdowania, ilustrowanego doskonałemi rysunkami, artykuł zawiera sposoby polowania i przytacza bardzo żywe wspomnienia z przeżyć osobistych. Rzecz zapowiada się bardzo interesująco i poważnie.

Nr. 12/1934, str. 309. J. Delacour. *„Indyki i koguty dzikie"*.— Indyki dzikie pochodzą z Ameryki Północnej. Jak wiele innej zwierzyny, zostały one tam niemal doszczętnie wytępione i chronione są obecnie w rezerwatach i w kilku stanach. Od indyków domowych wyróżniają się indyki dzikie bardziej harmonijną i lekką budową oraz ubarwieniem bronzowem, z odcieniem czerwonym w ogonie. Aklimatyzowane w Europie indyki nabierają wzrostu i samce dorosłe dochodzą do wagi ponad 10 kg. Tryb życia jest taki sam, jak bażantów. Przy hodowli sztucznej oswajają się łatwo, ale wypuszczone w las dziczeją prędko i hodują się tam dobrze. Stanowią doskonałą zwierzynę kuchenną, przewyższającą w smaku indyki domowe.

To samo da się powiedzieć o dzikich kogutach, *bankhiva*, pochodzących z Indji i Indochin. Jest to zwierzyna osiadła, płodna, doskonale latająca i ostrożna, bardziej inteligentna i sprawna od bażanta, o znacznie smaczniejszem mięsie. W Clères mnożą się koguty dzikie dobrze i nie odlatują z terenu.

Nr. 1/1935, str. 3. Cte A. de la Chevasnerie. *„W Irlandji"* — W słowach pełnych zachwytu autor opisuje urok polowania w Irlandji, tym sławnym kraju zielonych łąk, jezior i zarośli, które jej przysporzyły nazwę „zielonego Erynu". Główną atrakcją dla myśliwych jest znakomita organizacja, pozwalająca na korzystanie z polowań bez konieczności posiadania znajomości osobistych. Setki hoteli, rozsianych po całej Irlandji, załatwiają wszystkie niezbędne formalności od wykupu kart myśliwskich do wstępu na tereny łowieckie i dostarczenia przewodników z psami włącznie. Jeżeli chodzi o polowania indywidualne, to najbardziej atrakcyjnemi są polowania na kszyki i słonki lęgowe oraz na grousy. Zdobycie 100 kszyków dziennie lub 40—50 słonek czy grousów, nie jest tu rzadkością, aczkolwiek wymaga dużej wprawy, gdyż ptactwo irlandzkie, ćwiczone na silnych wiatrach morskich, odznacza się nadzwyczaj szybkim i nierównym lotem. Polowania zbiorowe w Irlandji, podobnie jak w Anglji, są to polowania par force, odbywane konno i z psami, zarówno na jelenie, jak na lisy i zające. Wzięcie w nich udziału jest zawsze dla cudzoziemca możliwe, gdyż wystarcza zgłoszenie pisemne do t. zw. „master of pack", kierownika ekipy myśliwskiej danego hrabstwa. Za 2 gwinee (po 21 szylingów) można wynająć pierwszorzędnego huntera i za opłatą 1 gwinei dziennie brać udział w polowaniu.

Nr. 1/1935, str. 7. J. Oberthür. *„Zwierzyna Francji"*. — Rozdziały IV i V pracy p. Oberthür, o której mówiłem wyżej, zawierają wyczerpujące opisy rodziny czajek i kulików (bataljonów). Doskonałe ilustracje autora, obrazujące ptaki w locie, w biegu, na gnieździe — podnoszą wartość pracy, mającej niewątpliwie znamiona studjum naukowego, pomimo braku nazw łacińskich, co uważać należy jednak za wadę pracy.

Nr. 1/1935, str. 17. *Stan zwierzyny w Austrji* w 1933 r. obliczony jest według źródeł urzędowych na: 514 tys. zajęcy, 193 tys. kuropatw, 162 tys. bażantów, 59 tys. sarn, 29 tys. królików 11 tys. lisów, 10 tys. jeleni, 6 tys. kozic, 4 tys. głuszców, 2 tys. danieli i 95 sztuk dzików.

Na Łotwie ilość zwierzyny w lasach państwowych o obszarze 1500 tys. ha obliczona jest na: 345 łosi, 740 dzików, 1025 jeleni, 37 tys. sarn, 6 tys. głuszców, 43 tys. cietrzewi, 40 tys. zajęcy - szaraków, 23 tys. bielaków, 3 tys. pardw, 59 tys. jarząbków, 9 tys. lisów, 50 sztuk rysi, 26 wilków, 34 bobry.

J. G.

NOWY ŻUBR W POLSCE.

„I. K. C." z dnia 23 stycznia r. b. zamieścił wzmiankę, że w maj. Szadłowice w Poznańskiem znajduje się nabyty przez właściciela młody żubr, zakupiony w Inowrocławiu od wędrownego cyrku, a pochodzący z Rosji, z nad Morza Czarnego, z fermy Askanja Nowa.

Wiadomość tę podał „I.K.C.", jak sam zaznaczył, do użytku Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra. Ze względu na szerokie doświadczenie w dziedzinie polegania na różnych sensacyjnych wiadomościach, drukowanych przez organy naszej prasy codziennej, woleliśmy tę łowiecką sensację stwierdzić u źródła, zwróciliśmy się przeto natychmiast do właściciela majątku Szadłowice (p-ta Inowrocław), p. Karola Donimirskiego, dla dokonania drogą pisemną szczegółowego wywiadu.

Pod datą 21 lutego r. b. otrzymaliśmy od p. Donimirskiego odpowiedź, która potwierdza całkowicie wzmiankę „I. K. C.".

Żubr został nabyty poprostu z litości, tak jego stan, jako cielęcia, był wynędzniały i godny pożałowania. Pan Donimirski, wytrawny widać hodowca rogacizny, potrafił i z żubrzem cielęciem dać sobie rady i wyhodował je na dwuletniego dziś byka, zdolnego do reprodukcji przyszłych pokoleń swej rasy; potrafił go także najzupełniej obłaskawić.

Waga tego byka wynosi dziś ca 600 kg.

Odpisując nam, p. Donimirski dodaje, że, gdyby chodziło komu o nabycie tego żubra, zdecydowałby się go sprzedać.

Co na to powie Naczelna Dyrekcja Lasów Państwowych?

A gdyby żubr ten jako odmiana nie odpowiadał jej programowi hodowlanemu w Białowieży, jest on w każdym razie gratką dla licznych, rozbudowujących się stale ogrodów zoologicznych i zwierzyńców Polski.

WUZET.

AUSTRJACKA WYSTAWA ŁOWIECKA 1935 R.

Dowiadujemy się, że w Wiedniu organizowana jest na czas wiosennych targów powszechna austrjacka wystawa łowiecka.

W tym celu wykańczany jest właśnie specjalny pawilon w zachodniej części terenu targów.

Reprodukowana na stronie 132 fotografja wyobraża zewnętrzny wygląd pawilonu, którego wnętrze mieścić będzie obszerne sale, między innemi salę uroczystości, stoiska dla wszystkich zjednoczonych w państwie krajów, osobną sekcję parków zwierzyny (z Lotau, Linzu i innych), salę trofeów zagranicznych, zdobytych przez austrjackich myśliwych, kolekcyj i wykresów statystycznych i naukowych, które dadzą między innemi obraz i wyjaśnienia odnośnie rozlicznych chorób zwierzyny oraz wskazówki dla młodych myśliwych.

Protektorat nad wystawą przyjął związkowy minister rolnictwa M. Reither; prezesem komitetu wystawy jest przewodniczący Austrjackiego Towarzystwa Przemysłu rolniczego i leśnego, hr. Colloredo-Mannsfeld; wiceprezesem — p. M. Mantler, wiceprezes Izby Rolniczej Dolnej Austrji.

Na wystawie ukażą się najpiękniejsze trofea, zdobyte przez austrjackich myśliwych od 1931 r.

Wystawa ta, jako „dzień myśliwego" i pokaz psów myśliwskich, zjednoczy w stolicy naddunajskiej myśliwych całej Austrji, a jednocześnie przyciągnie bezwątpienia licznych myśliwych zagranicznych, bowiem Austrja łowiecka stanowi dla myśliwych całego świata wybitną atrakcję przez swe bogactwo zwierzyny wszelkich gatunków i wybitnych trofeów.

Wystawa wiedeńska stanie się prawdopodobnie terenem wielu spotkań świata myśliwskiego i posłuży do zawiązania szeregu stosunków i korzystnych porozumień pod względem osiągnięcia przez poszukujących ciekawych terenów myśliwskich.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) W dniu 9 lutego b. r. p. Januszkiewicz, leśniczy lasów prywatnych, należących do majątku Pawłowo, położonych koło Tomaszewicz, pow. dziśnieńskiego, usłyszawszy strzały, pochodzące z głębi lasu, udał się natychmiast z dwoma kolegami w tym kierunku i wkrótce zobaczył trzech włościan, ubranych w kożuchy i posiadających strzelby, którzy oprawiali zabitego rogacza. Wezwani do oddania broni, włościanie chcieli uciec, lecz zostali ujęci. Okazało się, że byli to poddani sowieccy, Stefanow, Gruszew i Kozaczenko, mieszkańcy osady Jabłoniewo, którzy nielegalnie przekroczyli granicę i polowali w lesie, położonym o 2 klm. od granicy.

W czasie badania tłomaczyli się, że nie wiedzieli zupełnie o przekroczeniu granicy. Zobaczywszy o świcie kilka sarn które poszły w kierunku lasów pawłowskich, udali się za niemi, aby zapolować, gdyż byli przekonani, że ciągle znajdują się na terytorjum sowieckiem.

(—zet—) Dnia 15 czerwca ub. r., o godz. 5-ej rano dwaj posterunkowi Oswald Skowronek i Szatkowski, powracając na rowerach z nocnej służby, na szosie pod wsią Bieżchowicami spotkali rowerzystę, który, zobaczywszy ich, zawrócił i zaczął uciekać. Policjanci rozpoczęli ścigać uciekającego, lecz w momencie, gdy go już doganiali, jadący pierwszy Szatkowski przewrócił się do rowu razem z rowerem. Spostrzegłszy to, uciekający porzucił swój rower z przymocowanym do niego pakunkiem i zaczął biedz przez pola. Wówczas Skowronek poznał, że jest to znany kłusownik ze wsi Bojsno pod Gdynią, Feliks Herman.

Obaj policjanci zeskoczyli także z rowerów i zaczęli gonić kłusownika, który jednakże zdołał uciec. W pozostawionym przy rowerze pakunku posterunkowi znaleźli zabitą sarnę.

Śledztwo, prowadzone przez komendanta miejscowego posterunku, Kolakowskiego, wykazało, że rower zarejestrowany jest na imię Hermana. Wyglądało więc na to, że sprawa jest zupełnie jasna i przemawiająca na niekorzyść kłusownika. Tymczasem w czasie rozprawy w Wejherowie zjawił się na sali sądowej inny kłusownik, Augustyn Potrykus, zamieszkały w tej samej wsi i bardzo podobny do Hermana, przyczem obaj są jednakowego wzrostu i zupełnie podobnie się ubierają, i zeznał, że to jego gonili policjanci, a nie Hermana i że zatrzymany rower kupił on od Hermana na dwa tygodnie przed powyższym faktem.

Obaj posterunkowi zaprzeczyli temu stanowczo, zapewniając, że ściganym przez nich był Herman. Ten ostatni przedstawił kilku świadków, z których jedni twierdzili, że Herman wiadomego dnia pracował przy kopaniu torfu, inni zaś zeznali, że widzieli Potrykusa, jadącego szosą pod wsią Bieżchowice rowerem, do którego był przytwierdzony jakiś pakunek.

Sąd jednak wziął pod uwagę zeznania posterunkowych Skowronka i Szatkowskiego i skazał Hermana na 8 miesięcy aresztu. Herman wniósł apelację, a prokurator wytoczył sprawę Potrykusowi o krzywoprzysięstwo, a Feliksowi i Franciszkowi Hermanom o namawianie do fałszywych zeznań świadków obrony Jana Szkielniska i Antoniego Głąbiewskiego.

Rozprawa odbyła się w dn. 15 lutego r. b. w sądzie okręgowym w Gdyni i wyjaśniła zapewne, kto był ściganym przez policjantów.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 21 i 24 stycznia 1935 r. odbyły się polowania w majątku Turna, powiatu węgrowskiego u p. Kazimierza Popiela. W 9 strzelb ubito 531 zajęcy, 1 lisa, 32 bażanty i 1 psa włóczęgę, razem 565 szt. Najwięcej na rozkładzie 1 i 2 dnia miał gospodarz, który pierwszego dnia, kierując osobiście naganką i przez cały dzień jej towarzysząc, podniósł 57 zajęcy i 2 bażanty, co dowodzi, mimo sprzyjającej pory, z jakim uporem zwierzyna cofała się na naganke. Zadowalający zwierzostan w Turnie, nie wyłączając dużej ilości sarn, z każdym rokiem potęgujący się, obok świetnej organizacji polowań, jest wynikiem racjonalnej ochrony i prawdziwego zamiłowania gospodarza do łowiectwa.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; najmniejsze ogł. — 1 zł.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantarnie łochowskie sprzedają 1000 kogutów i 1000 kur bażancich po cenie: 8 zł. kura i 7 zł. kogut z opakowaniem stacja Łochów. Oferty: Dyrekcja lasów Łochów, Józef Hercik

Bażanty koguty białoobrożne, pierwszorzędny materjał hodowlany, jajka bażancie, wysadki i nasiona leśne, poleca Nadleśnictwo Miłosław (Poznańskie).

Dworskich terenów łowieckich do wydzierżawienia natychmiastowego poszukuję. Dobre polowania kresowe, wiosenne i letnie, wilki, dziki, a także jelenie, sarny, zające, kaczki, kuropatwy, bażanty. Wiadomość w Administracji Ł. P. dla „Roma".

Gajowy, lat 40, praktyki leśnej 18 lat w tem 2 lata w lasach Krośniewickich, obeznany z prowadzeniem szkółek, kultur, trzebierzy lasu z łapaniem w klatki i sieci żywej zwierzyny i hodowlą ryb, dobry hodowca zwierzyny, tępiciel drapieżników i kłusowników, poszukuje od 1. IV. 35 r. posady. Roman Kcemowski, leśnictwo Perna, poczta Ostrowy Warszawskie.

Irby, b. stylowa, 9 miesięczna, czarna suka, pointer, córka „Blackfield Eole", wnuczka „Skogis Black-Devil. — okazyjnie do sprzedania. Żółta Karczma k/Służewa, tel. 8-55-84.

Jeleń (byk) 9-miesięczny, oswojony, w celach hodowlanych, za gotówkę, lub odstrzał kapitalnego jelenia w przyszłym sezonie natychmiast do oddania. Franciszek Mruk, leśniczy. Osowo, poczta Bielewo, pow. Gostyń, Wielkopolska.

Leśniczy z Pomorza, lat 34, szesnastoletnią praktyką, obznajmiony we wszelkich gałęziach leśnictwa, bardzo energiczny, dobry tępiciel drapieżników i kłusowników, zamiłowany hodowca zwierzyny i bażantów — poszukuje posady od zaraz lub od 1 kwietnia r. b. z kaucją. Józef Jankowski Dolsk, poczta Przewoły

Leśnik, lat 23, praktyki 8 lat, niezmordowany w ochronie lasu, dobry łowiec, przystojny, pilny, sumienny, szuka posady jako **pomocnik leśny, lub gajowy**. Łaskawe zgłoszenia do: Buchalik Józef, leśniczy rewirowy, Orzesze (G.-Śląsk).

Nasiona i wysadki leśne poleca Nadleśnictwo Miłosław (Poznańskie).

Poszukuję odstrzału 2—4 głuszców. Zgłoszenia z warunkami proszę kierować: Kpt. Szczepański — Inowrocław 4 p. a. l.

Wyżły na własnych terenach zaprawia do polowania za opłatą 30 złotych miesięcznie wraz z utrzymaniem, zawodowy myśliwy-treser Marcin Andrzejewski Majątek Pogorzel, poczta Siennica k. Mińska Mazowieckiego.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa